

wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne · cena 5 zł · nr 10-11 (262/263) · październik/listopad 2010



Urokliwy Stary Cmentarz Katolicki w Kościanie. Znajduje się na nim m.in. wojenna kwatera Obrońców Rzeczypospolitej. Spoczywają w niej polscy żołnierze – uczestnicy powstań śląskich, wojny polsko – bolszewickiej, którzy z odniesionych ran zmarli w kościańskich szpitalach polowych oraz nieliczni powstańcy wielkopolscy. Nad kwaterą góruje pomnik. Trwała jest nad Obrą pamięć o tych, którzy swe życie złożyli na ołtarzu Ojczyzny. Wieczny odpoczynek racz im dać Panie.

Fot. Teresa Masłowska



Bogusław Polak (z prawej) z Piotrem Bauerem nad dokumentami archiwalnymi. Zdjęcie wykonano w Kościanie, w mieszkaniu Piotra w 1975 roku.

Fot. Bogdan Ludowicz

Sto lat Profesorze

Jak ten czas leci. Dobiegający końca rok 2010 jest rokiem dwóch jubileuszy wybitnego historyka dziejów oręża polskiego, laureata nagrody „WK” za wybitne osiągnięcia naukowe za 1997 rok, naszego Przyjaciela prof. dr hab. Bogusława Polaka. Profesor obchodzi 65. rocznicę urodzin oraz 40. rocznicę twórczej pracy naukowej. Nie urodził się – jak wielu sądzi – w Kościanie, ale w 1945 roku w Gorlicach, dokąd wysiedlono w czasie okupacji jego rodziców: ojca – Wojciecha, który był długoletnim kierownikiem Szkoły Podstawowej w Kiełczewie i matkę – Kazimierę z domu Klimek – nauczycielkę tejże szkoły. Dzieciństwo i młodość Profesor związał z Kościanem - tutaj w liceum zdał maturę, stąd wyruszył do Poznania na studia i do naszego miasta zawsze chętnie wraca. Bywa tak w wielkim świecie, że ludzie, którzy wyszli z małych miasteczek, jakby wstydzą się swego pochodzenia. Profesor jest inny – bez względu na to gdzie jest, w kraju czy zagranicą, z dumą mówi o tym, że jest kościaniakiem.

Bo też z Kościanem właśnie wiąże się Jego drugi jubileusz. Badał dokumenty, gromadził relacje i pisał już wcześniej – jeszcze w czasie studiów na UAM, ale za punkt wyjścia do swego jubileuszu pracy twórczej uznał obronę w 1970 roku pracy magisterskiej, napisanej pod kierunkiem niezapomnianej pamięci prof. dr hab. Zdzisława Grota. A praca ta nosiła tytuł „Udział Ziemi Kościańskiej w Powstaniu Wielkopolskim 1918-1919” i w dawnych trudnych czasach ukazała się drukiem właśnie w Kościanie. A jeśli jeszcze wspomnieć, że wspólnie z śp. dr. Piotrem Bauerem oraz z wielu – dziś znamienitymi historykami polskimi – Profesor za młodu stworzył w Kościanie ogólnopolskie centrum badań dziejów Powstania Wielkopolskiego, zrozumiałe się staje, że Zaczny Jubilat zasłużył na wielki szacunek nad Obrą.

Redakcja „Wiadomości Kościańskiej” życzy Tobie, Profesorze, tradycyjnego „Sto lat” oraz dalszych osiągnięć w służbie nauce i tradycji polskiego oręża. **(Red.)**

W numerze m.in.

Paryskie Zaduszki
korespondencja z Francji
(4-7)

Byłem wtedy w Katyniu
Zenona Józwiaka relacja
po katastrofie
(8-9)

Policjant
Sylwester Przybylski
z Jarogniewic (1913-1940)
(10)

„Bon ami”
z Szarych Szeregów
Okupacyjny życiorys
Urszuli Hoffman
(11-14)

Od Świerczewskiego
do Koszewskiego
Wspomnienie
kościńskiego nauczyciela (2)
(19-20)

W oparach
drukerskiej farby (2)
(21-23)

Na minowych polach emigracji
Z zapisków
Adama Tomaszewskiego
(29-30)

„**Wiadomości Kościańskie**”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), oraz Alicja Żurek (marketing i kolportaż). **Adres redakcji:** 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtysiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.



Smutny nagrobek Adama Mickiewicza



Nagrobek trzeciego Wieszczu. Fot. (4x) z archiwum Zdzisława Wojtczaka

Paryskie Zaduszki

Czyż jest piękniejsze miasto aniżeli Paryż? Kiedyś nazywano go stolicą świata. A dziś? Różne są przeciwieństwa. Paryż jednak w czółówce miast jest bez wąpienia. To nade wszystko światowa stolica kultury. Któż tu nie żył i nie tworzył? Także i wielu spośród Polaków. Dość wspomnieć największych naszych poetów. Może o

nich w Paryżu innym jednak razem. Paryż to miasto pełne tchnienia dawnych wieków i pełne zabytków, a równocześnie na wskroś nowoczesne. Szerokie, pełne pojazdów i ludzi bulwary, a także ciche, puste i wąskie uliczki przy nadbrzeżu Sekwany na Île Saint-Louis. Magia Montmartre, bazylika Sacré-Coeur i plac du Tertre, wieża Eiffla i płynąca poprzez

Paryż Sekwana, której nurt na mapach miasta przypomina niektórym kształt kobiecej piersi i od tego zresztą wywodzą nazwę rzeki...

Co roku wiosną bywam, chociaż na kilka dni w Paryżu. Od lat zatrzymuję się w tym samym hotelu *Les jardins de Paris* przy rue Saint-Benoît, tuż obok bulwaru Saint-Germain. Hotel jak hotel. Dlaczego wybieram właśnie ten? Z racji położenia. Mieszkam w pokoju, który ponoć przed laty zajmował Hemingway. Pod moim oknem rozpościera się pełen magii taras kawiarni *Café Flora*. To właśnie tu zasiadał przed laty Jean Paul Sartre z Simone de Beauvoir i otoczony przez brodatych studentów poubieranych w czarne, rozciągnięte swetry i studentki uczesane, jak to wtedy nazywano, na topielice, a których i ubranie, i urodę reprezentowała najlepiej Juliette Greco, wykladał im zasady egzystencjalizmu. Moja sympatia do tej pary bierze się m. in. stąd, że sam miałem na pierwszym roku studiów taki rozciągnięty czarny sweter i czerwone, kłoszowane u dołu, spodnie. Gdy po raz pierwszy tak ubranego zobaczyła mnie moja Mama mało nie zemdląła.

Czasem z braku miejsca Sartre ze słuchaczami przenosili się do sąsiadującej i konkurującej z *Flora* kawiarni *Deux Magots*. To dosłownie dwadzieścia kroków od „mego” hotelu. W *Deux Magots* nie jeden raz jadałem śniadania. Dwaj magowie tak jak przed laty w milczeniu spoglądali na salę. Plac obok, a właściwie to placzyk, nosi dziś nazwę J. P. Sartra i S. de Beauvoir.

Na przeciw tarasu tej kawiarni, po drugiej stronie placzyku J. P. Sartra i S. de Beauvoir wznosi się najstarszy paryski kościół Saint-Germain-des-Prés. Swoimi początkami sięga połowy pierwszego tysiąclecia. Siedząc na tarasie *Deux Magots* i pijąc kawę popatrywałem na jego bryłę zwieńczoną kwadratową wieżą, lśniąca w promieniach porannego słońca i nie jeden raz, z pewnym takim zdziwieniem, uzmysławiałem sobie, że liczył on już prawie pięćset lat, a dopiero wówczas zaczynało istnieć polskie państwo.

Często do tego kościoła zaglądałem. Jednym z jego opatów był po swej abdykacji nasz polski król Jan

Kazimierz. Po śmierci spoczywał w tym kościele, a gdy jego ciało przeniesiono na Wawel, tu pozostawiono królewskie serce. W jednej z bocznych naw kościoła znajdują się królewski pomnik. Wyrzeźbiony w białym marmurze, król ubrany w szaty opata, trzyma w ręku berło i koronę w sposób jakby komuś te przedmioty podawał czy oddawał. W podstawie pomnika znajduje się płaskorzeźba w brązie przedstawiająca bitwę pod Beresteczkiem, gdzie wojska polskie pod wodzą Jana Kazimierza stoczyły zwycięską bitwę z Kozakami B. Chmielnickiego. Może kiedyś będę miał okazję przedstawić, jak dziś wygląda pole tamtej bitwy.

*

Za którymś tam razem siedząc wieczorem na tarasie *Café Flora* i obserwując życie paryskiej ulicy zastanawiałem się co mam robić w najbliższe dni. Wiele paryskich „atrakcji” już miałem za sobą i postanowiłem zwiedzić paryskie cmentarze. Na niektórych już bywałem. Nigdy jednak nie zwiadałem paryskich cmentarzy jeden po drugim. Teraz postanowiłem im i tylko im poświęcić cały swój czas. Miały to być takie moje paryskie Zadzuszki. Nic to, że w czerwcu...

Jako pierwszy dla swych peregrinacji wybrałem największy cmentarz paryski Pere-Lachaise. Zajmuje prawie 47 ha, na których znajduje się ponad dwieście tysięcy grobów. Są tu skanalizowane uliczki, oznaczone tabliczkami, ścieżki i ścieżynki. Prawdziwe miasto umarłych. Chodzić po nim można, zważywszy na jego rozmiar, całymi dniami i ciągle odkrywa się coś nowego, coś co uszło uwadze podczas poprzedniej tu wizyty. Nie raz i też pobłądzić. Spoczywa tu olbrzymia ilość wybitnych polityków, poetów i pisarzy, muzyków, malarzy, wybitnych uczonych. Wszystkich ich nazwisk wymienić nie podobna.

Z cmentarzem tym związana jest pewna nadzwyczaj pouczająca historia. Owe 47 ha zakupił od właściciela, w początkach XIX wieku, urbanista, niejaki Nicholas Frochot. Wkrótce przekonał władze miejskie do urządzenia na tym terenie cmentarza. Z biegiem lat zaczęto uważać miejsce pochówku na Pere-Lachaise za symbol wysokiej społecznej pozycji.

Chowano tu coraz znamienitszych obywateli miasta. Po latach Fochot sprzedał poprzedniemu właścicielowi gruntu miejsce na grób, za cenę ponoć kilkakrotnie wyższą, aniżeli zapłacił mu za całość. To nie tylko przykład umiejętnej spekulacji ale i swego rodzaju przestroga dla sprzedających nieruchomości. I dziś, jak mi mówiono, miejsce na tym cmentarzu nie należy do tanich.

Mają więc tu swoje groby i Moliere, Ives Montand, La Fontaine, i Simone Signoret, Edith Piaf, i Jim Morrison. Mnie najbardziej, co oczywiste, ciągnęły znajdujące się tu groby Polaków. Wśród nich ten najważniejszy - grób Fryderyka Chopina. Zdobiony białą muza oplakująca zmarłego kompozytora wykonana przez zięcia George Sand. Zawsze tu pełno białych i czerwonych kwiatów. Trudno o chwilę zadumy. Co i rusz pojawiają się wycieczki i indywidualni turyści.

Całkiem inaczej jest przy grobach francuskich poetów i pisarzy: Alfreda Musseta, Guillaume Apollinaire'a, Marcela Prousta czy Honore de Balzac. Cisza i bezładnie pozwala przysiąść, czy to na ławce, czy też na samej mogile i podumać...

Najbardziej jednak lubię na tym cmentarzu iść Avenue Circulaire w jego północno-wschodni koniec. Mijam wówczas mogiły francuskich komunistów Maurice Thoreza i Jacques'a Duclos, pomniki poświęcone ofiarom drugiej wojny światowej i jestem w sekcji 76 cmentarza przy murze Komunardów. Cicho tu, pusto i zielono. Siadam pod rozłożystym drzewem, chroniąc się przed słońcem, i patrzę na mur pod którym w 1871 rozstrzelano setki ostatnich obrońców Komuny Paryskiej i tu w zbiorowej mogile pogrzebano. Przed egzekucją chronili się pomiędzy grobami. Tropiono ich i goniono, a po złapaniu prowadzono na miejsce kaźni. Próbuję to sobie wyobrazić. Tragiczność całej tej historii, samej w sobie niewyobrażalnej tragicznej, tak mi się przynajmniej wydaje, potęguję i to, że rozkaz wykonania egzekucji wydał Adolphe Thiers, który też spoczywa na tym cmentarzu. Tuż za moimi plecami jest nagrobek jednego z polskich przywódców Komuny Walerego Wróblewskiego. Postaci prawie,

że dziś w Polsce całkowicie zapomnianej i jakby potępionej. Inskrypcję na jego grobie kończą zaś słowa: *Bohaterskiemu synowi Polski – lud Paryża.*

*

Czas przenieść się na kolejny paryski cmentarz. Cimetiere Montparnasse. Znacznie mniejszy od Pere-Lachaise, choć także dość rozległy, to jednak mniej tłoczny, bardziej przestronny, o wiele więcej w nim prostych alejek, nie pozwalających pobłądzić. Tuż przy głównym wejściu, od strony bulwaru Edgar-Quinet, po prawie stronie jest wspólny grób Jean-Paula Sartre'a i Simone de Beauvoir. Znajdują się tu także mogiły Charles'a Boudelaira'a, Guy de Maupassanta czy znanego z historii kapitana Dreyfusa. Tu również pochowano Samuela Becketta i Eugene'a Ionesco. Na tym cmentarzu znajduje się także grób Symeona Petlury. Tego samego, który z woli prezydenta Juszczunki (który grób Petlury także odwiedził w towarzystwie małżonki) otrzymał tytuł bohatera narodowego Ukrainy. Wśród grobów odnaleźć można także groby polskie; m.in. mogiłę jakże drogą sercu Wielkopolanina, Ludwika Mierosławskiego, który w roku 1848 został naczelnym wodzem armii polskiej zaboru pruskiego i dowodził m.in. zwycięskimi potyczkami pod Miłosławiem i Sołkowem.

Wydają mi się, jakby z powodu mniejszej powierzchni tego cmentarza odwiedzający go o wiele więcej uwagi poświęca cmentarnym rzeźbom. Wiele czasu spędziłem w części oddzielonej od głównego cmentarza rue Emile-Richard i podziwiałem pomnik na mogile Charlesa Pigeona wynalazcy lampy gazowej. Przedstawia on wynalazcę leżącego w łóżu u boku swej żony i czytającego jej książkę przy świetle wynalazionej przez siebie lampy.

Jest tu również sporo nagrobków całkowicie nowoczesnych. Z rzeźbami zdobionymi kolorowym szkłem o wielce abstrakcyjnych kształtach. Niestety z braku tradycyjnych inskrypcji nie potrafiłem rozszyfrować



➤ kogo mogiły zdobią ani czy-
jego są autorstwa.

*

I wreszcie trzeci znany paryski cmentarz Montmartre. Znacznie mniejszy od dwóch poprzednich, Wciśnięty w wysoką miejską zabudowę, z przebiegającą obok niego wiaduktem ruchliwą drogą, na pozór zdaje się nieporozumieniem. Jego wysokie drzewa jednak wyciszają dobiegający zewsząd hałas i jest on oazą ciszy i zieleni. Zagląda tu nie wielu ludzi. Także Polaków. A przecież to najbardziej polski cmentarz w Paryżu. Najślyniejsza polska mogiła znajduje się

Na pomniku, co kruszy się coraz ciemniejszy,
Śpią insygnia, trzy książki z kamienia i lira...

Jeśli zajdziesz tu, pomyśl: nie wszystko umiera

Czas jednak odejść i pójść dalej. W sektorze 32 przy alejce Saint-Charles spoczywał w zbiorowej mogile Joachim Lelewel. Mimo, że ciało Lelewela 1927 r. przeniesiono do Wilna, na mogile z resztkami ciał powstańców listopadowych stoi sporych rozmiarów kolumna zwieńczona Orłem i Pogonią, a poniżej niej napis: *Jeszcze Polska nie zginęła póki Bóg na niebie*. Są tu też groby polskich ary-

grób członków Rządu Narodowego z czasów Powstania Listopadowego; mogiła Aleksandra Jełowickiego wydawcy dzieł Adama Mickiewicza, a poprzednio żołnierza-powstańca odznaczonego krzyżem Złotym Virtuti Militari za walkę w obronie Warszawy w roku 1831. Coś ścisza za gardło, gdy czytam liczący grubo ponad sto lat napis *Wiernym synom Ojczyzny...*

Na cmentarzu Montmartre pochowano także wiele innych znaczących postaci. Dość wspomnieć, że są tu mogiły pisarzy - Aleksandra Dumas, Stendhala, Théophile Gautier, Heinricha Heine, kompozytorów - Jacque-



Spotkanie z Guillaume Apollinaire

w siódmej kwaterze. To grób Juliusza Słowackiego. Zdobi go inskrypcja *Grand poete polonais*. Ciało Poety tu już nie ma. W czerwcu 1927 r. dzięki zaangażowaniu Marszałka Józefa Piłsudskiego jego szczątki spoczęły w krypcie Wieszców na Wawelu.

Stojąc przy tej pustej mogile przypomniał mi się fragment pięknego wiersza Jana Lechonia noszący tytuł: „Na grobie Słowackiego”

stokratów: Marii Potockiej, Józefa i Hermana Potockich, hrabiego Izidora Sobańskiego i innych. Jedna z głównych alejek nosi nazwę Avenue des Polonais. A na niej mogiły, setki mogił i nazwiska – Jerzy Kąski *ancien soldat sous Kościuszko*, Jan Szlubowski *ancien soldat sous Kościuszko*, Józef Zaliwski *colonel*, Józef Fijałkowski *colonel*, Julian Sierawski *general de division* – to żołnierze narodowych powstań. Jest

es’a Offenbacha i Hectora Berlioz. Pochowano tu również malarza i rzeźbiarza Edgara Degas i piosenkarkę Dalidę. Stojąc nad jej mogiłą zdawało mi się, że z bezchmurnego czerwcowego nieba płyną słowa piosenki w wykonaniu tej przepięknej kobiety:

Paroles, paroles, paroles...

Cimetiere Montmartre to piękny cmentarz. Kameralny. Słaniający do zadumy. Jak się tu znajdują za każ-

dym razem żal mi go opuszczać. A przecież tuż za bramą tętni życiem olbrzymie miasto. Kilkadziesiąt kroków stąd, no może ciut więcej, jest plac Pigalle i roi się na nim od kin, od naganiaczy nakłaniających mnie do odwiedzenia licznych lokali z hard-porno, prostytutek I zastanawia to współistnienia obok siebie wesołości i smutku, spraw najpoważniejszych i całkowicie nieważnych, doczesności, czasem nawet wulgarnej i wieczności... Potrafią w taki sposób połączyć chyba tylko Francuzi.

*

Prezentując paryskie cmentarze koniecznie trzeba wspomnieć o Panteonie - nekropolii najbardziej zasłużonych dla Francji. Tuż obok wahała Foucaulta jest wmontowana tablica poświęcona pamięci Antoine de Saint Exupery. W podziemnych kryptach Panteonu spoczywa ponad osób. Są tu m. in. pisarze Jean Jacques Rousseau, Emil Zola i Wolter. Wymienianie dalszych nazwisk przekraczałoby ramy tego artykułiku. Niepodobna jednak nie wspomnieć, że jedyną kobietą spoczywającą w Panteonie jest Maria Curie-Skłodowska. Znalezienie się w jej krypcie powodują odrobinę szybsze bicie serca. Biały sarkofag opatrzony jest ledwo widocznymi napisami. Kto jednak w nim spoczywa bez trudu pozwalają odkryć biało- czerwone szarfy jakimi przewiązane są składane tu bukiety kwiatów.

*

Przedstawiając paryskie cmentarze nie podobna nie zapomnieć o cimetiere w Montmorency. To małe, uroczyste francuskie miasteczko położone kilkadziesiąt kilometrów od Paryża. Rozpościera się na wzgórzach i pagórkach tak, że powiadają, iż nie ma w nim żadnej poziomej ulicy. Na najlepszym cmentarzu spoczywa ponad 400 Polaków. Cały cmentarz można ogarnąć wzrokiem. Brak na nim drzew. O polskich mogiłach, miejscu ich położenia, informuję obszerna tablica tuż przy wejściu. Na murze cmentarza, po jego wewnętrznej stronie szereg tablic. Poświęcone są pamięci poległych żołnierzy II wojny światowej, ofiarom hitlerowskich i stalinowskich zbrodniarzy. Tablica poświęcona rozstrzelanej przez Niemców na Woli w sierpniu 1944 r. Hen-

ryce Julii Rochowicz sąsiaduje z tablicą pamięci rotmistrza Wojska Polskiego Józefa Dwernickiego, który poległ we Francji także w sierpniu 1944. Tablice pomordowanych w sowieckich obozach wiszą nieopodal poświęconej generałowi Władysławowi Sikorskiemu. Ich liczba i zestawienie powodują, że trudno oderwać od nich wzrok. Obrazują one los Polaków tamtych lat.

W głębi groby. Któż tu nie spoczywa. Generałowie Powstania Listopadowego – Władysław Zamojski i jeden z jego wodzów Henryk Dembiński (dowodził też jedną z armii w czasie powstania węgierskiego w 1849 r.). Są zbiorowe mogiły uczestników listopadowego zrywu. Jest grób generała Kniaziewiczza, uczestnika insurekcji kościuszkowskiej, dowódcy Legionów Polskich we Włoszech, żołnierza kampanii napoleońskich i wreszcie przedstawiciela Rządu Narodowego w Paryżu. Jego nazwisko figurują też na Łuku Triumfalnym.

Spoczywają tu także malarze (Olga Boznańska zm. w 1940 r. i Tadeusz Makowski zm. w 1932 r.), rzeźbiarz (Cyprian Godebski zm. w 1909 r.) i pisarz Aleksander Wat, który zmarł w roku 1967. Jest mogiła Juliana Ursyna Niemcewicza (którego wizytę w Kościanie wspomina Jurek Zielonka w swoim pięknym, pełnym erudycji wywiadzie w Gazecie Kościańskiej). Pochowani są wszyscy kolejni kierownicy Biblioteki Polskiej w Paryżu. Z pewnym trudem odnalazłem grób historyka Władysława Pobóg-Malinowskiego.

No i są dwa groby szczególnie mi bliskie. Adama Mickiewicza i jego rodziny oraz Cypriana Norwida. Adam Mickiewicz zmarł 26 listopada 1855 r. w Konstantynopolu. Po różnych perypetiach trumna z jego ciałem dotarła do Francji w początkach stycznia roku następnego i spoczęła w podziemiach kościoła Św. Magdaleny w Paryżu. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w poniedziałek 26 stycznia 1856 r., najpierw w świątyni Św. Magdaleny, a później na cmentarzu w Montmorency. Po pewnym czasie do mogiły Adama przeniesiono ciało jego żony zmarłej 5 marca 1855 r., a spoczywające dotąd na cmentarzu Pere-Lachaise.

W 1890 roku zwłoki Wieszcza przeniesiono na Wawel. Żegnał go na cmentarzu Montmorency m.in. Ernest Renan rektor College de France słowami: *Wielki i Znako-mity Kolego, w grobie królewskim, który przygotowało ci uwielbienie twoich rodaków, wspominaj Francję...*. A we Francji pozostał ten grób. Dziś nad-szarpięty zębem czasu, pęknięty i z zaciekami...

Kilka rzędów dalej jest mogiła Cypriana Kamila Norwida. Zmarł on w przytułku Św. Kazimierza przy dzisiejszej ulicy du Chevaleret 119, leżącej wówczas w podparyskiej miejscowości Ivry i tam został pochowany. Kiedy po pięciu latach wygasła licencja na zachowanie grobu, szczątki Poety ekshumowano i pochowano w zbiorowej mogile na cmentarzu w Montmorency. W 2001 roku urnę z ziemią z grobowca przeniesiono do Krypty Wieszców na Wawelu. I odtąd trzech największych polskich poetów tam spoczywają bo „królom byli równi”. Dziś mogiła Cypriana Norwida, mimo, że w znacznie lepszym stanie technicznym, aniżeli grób rodziny Adama Mickiewicza, także z powodu zacieku wymaga renowacji.

Przed laty Maria Konopnicka napisała wiersz noszący tytuł: „Na cmentarzu w Montmorency”, a w nim i takie strofy:

Groby wy nasze, ojczyste groby,
Wy życia pełne mogiły!
Wy nie ołtarzem próżnej żałoby,
Lecz twierdzą siły!
Nie z jękiem marnym, nie z westchnieniami,
Nie z pustym echem pacierzy,
Ale z płonącym sercem przed wami
Stać nam należy.

*

Zbliżał się nieuchronnie wieczór. Czas było opuszczać te groby. Czekaliśmy jeszcze droga autobusem na dworzec kolejowy (bo Montmorency, chociaż małe, jest jednak bardzo rozległe) i podróż do Paryża. Z dworca Paris-Nord też jeszcze kawał drogi do hotelu. Mimo fizycznego zmęczenia byłem szczęśliwy, że dane mi było „stać” przed tymi grobami; stać „z płonącym sercem”.

ZDZISŁAW WOJTCZAK

Byłem wtedy w Katyniu

Nie wiem, czy to przypadek, czy przeznaczenie sprawiło, że 11 kwietnia, dzień po tragicznej katastrofie, w której zginęli Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Lech Kaczyński z Małżonką Marią i towarzyszącymi Mu 94 innych osób, byłem w Katyniu.

Wiadomość o katastrofie

Katyni był w programie wyjazdu zorganizowanego przez stowarzyszenie Fundacja Kresowa „Polonia”. Początkowo mieliśmy jechać do Nowogródka, Miru, Mińska, Bohuszevicz i Katynia jeszcze przed Wielkanocą, ale – jak wyjaśniali organizatorzy - nie wpuszczono by nas na cmentarz w Katyniu ze względu na przygotowania do spotkania premierów Donalda Tuska i Władimira Putina, które odbyło się 7 kwietnia. Z naszego rejonu jechał jeszcze Antoni Fornalski, dyrektor Zespołu

Zdzisław Kościański odebrał telefon z Polski z wiadomością, że pod Smoleńskiem rozbił się prezydencki samolot.

Z początku nie mogliśmy w to uwierzyć, zaczęliśmy dzwonić do Polski i niestety potwierdziły się najgorsze obawy. W oczach mieliśmy łzy, ogarnęła nas pustka, ogromny żal, mimo wszystko ciągle żywił się nadzieję, że jednak ktoś uratował się z tej katastrofy. Od tego momentu zmienił się zupełnie nastrój w naszej grupie: dominowała powaga, skupienie i żal, jak po stracie bliskiego. Towarzyszący nam ksiądz

Współczucie Rosjan

Z Mińska wyjechaliśmy bodajże o 3.40 i po prawie czterogodzinnej podróży znaleźliśmy się na dworcu w Smoleńsku. Już w pociągu, pasażerowie – Rosjanie widząc nas z kwiatami – wiązankami zabranymi z Polski - składali nam kondolencje w związku ze śmiercią Prezydenta i osób towarzyszących. Na dworcu w Smoleńsku zaskoczyli nas reporterzy telewizji rosyjskiej, pytali czy jesteśmy rodzinami ofiar. Kiedy się dowiedzieli, że przyjechalibyśmy z wcześniej zaplanowaną pielgrzymką, aby złożyć hołd zamordowanym oficerom, poprosili o komentarz. Nie mieliśmy dokładnych informacji, więc trudno było cokolwiek powiedzieć, ale w naszym odczuciu to ogromna tragedia dla narodu polskiego, ogarnięci byliśmy żalem po stracie wybitnych przedstawicieli życia politycznego.

Podeszli do nas także Rosjanie pytając, czy mogą nam w jakiś sposób pomóc w dotarciu do Katynia, względnie w okolicy miejsca tragedii. Byli przygotowani na przyjazdy ludzi z Polski. Podziękowaliśmy im. Na dworcu czekała już na nas przewodniczka z Memoriału Katyni, który sprawuje opiekę nad Polskim Cmentarzem Wojennym w Katyniu. Antonina Mickiewicz pochodzi z rodziny smoleńskich Polaków. Pięknie mówi po polsku.

Najpierw zatrzymaliśmy się na stacji Gniezdowo, na którą w 1940r. przybywały z obozu w Kozielsku kolejne transporty oficerów, dalej przewożone „czarnymi wronami” na miejsce kaźni do Lasu Katyńskiego. Nie wszyscy oficerowie byli mordowani w Katyniu, część wyładowano na dworcu w Smoleńsku i przewożono najpierw do siedziby NKWD w Smoleńsku, gdzie ich zabijano w piwnicach, a potem ciała transportowano do Lasu Katyńskiego. W Katyniu od razu poszliśmy na cmentarz.

W „dolinie śmierci”

Polski Cmentarz Wojenny w Katyniu zajmuje obszar ok. 1,4 ha. Jest to cmentarz, którego miało nie być, podobnie jak miało nie być pamięci o Katyniu. Różni się od innych cmentarzy. Nie ma na nim



Msza św. za ofiary katastrofy pod Smoleńskiem.

Fot. Zenon Józwiak

Szkół Szkoła Podstawowa i Gimnazjum im. Powstańców Wielkopolskich w Przemęcie. Pozostali uczestnicy wyprawy to mieszkańcy Nowego Tomyśla, w wśród nich pochodzący z Kościana dr Zdzisław Kościański i ks. kan. Władysław Kasprzak z parafii pw. NMP Nieustającej Pomocy.

Z Nowego Tomyśla wyjechaliśmy 9 kwietnia. Granicę polsko-białoruską przekroczyliśmy w Terespolu, dalej pojechaliśmy do Zasosia, miejsca urodzin Adama Mickiewicza. Kiedy zaczęliśmy zwiedzać skansen mickiewiczowski,

przejął przewodnictwo i zaczęliśmy modlić się w intencji ofiar. I cały czas dzwonił do Polski pytając o szczegóły...

Obawialiśmy się, że w tej sytuacji nie będziemy mogli pojechać do Katynia. Jednak okazało się, że możemy jechać. Udaliśmy się jeszcze do Nowogródka zwiedzać muzeum Mickiewicza, po drodze zatrzymaliśmy się nad brzegiem jeziora Świtez, a także w Mirze, gdzie obejrzelibyśmy z zewnątrz przepiękny renesansowy zespół zamkowy Radziwiłłów, wpisany w 2000r. na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Pod wieczór dojechaliśmy do Mińska. Dalszą podróż do Smoleńska mieliśmy odbyć pociągiem.

indywidualnych grobów z krzyżami, pomnikami i tabliczek z inskrypcjami nagrobnymi. Ma formę kurhanu otoczonego murem, który symbolizuje granicę pomiędzy światem zewnętrznym, a ziemią uświęconą krwią ofiar. Znajduje się tam sześć zbiorowych grobów ze szczątkami zamordowanych oficerów Wojska Polskiego, które oznaczono dużymi krzyżami oraz dwie mogiły indywidualne: generała brygady Bolesława Bohatyrewicza i generała dywizji Mieczysława Smorawińskiego. Groby są po obu stronach głównej alei cmentarza, która prowadzi do zespołu ołtarzowego. Na wprost znajduje się monumentalny zespół ołtarzowy: otwarta wielka „brama” przesunięta z granicy muru w głąb cmentarza, na żeliwnej płaszczyźnie powierzchni zapisano nazwiska ofiar. W bramie stoi krzyż. Pod bramą w specjalnej niszy jest umieszczony podziemny symbolizujący prawdę, której nie można ukryć nawet pod ziemią. Na powierzchni dzwonu został wyryty tekst Bogurodzicy i nazwa dzwonu „Katyń”. Przed bramą stoi żeliwny ołtarz – miejsce sprawowania Mszy św. „Doły śmierci”, do których w 1940r. wrzucono ciała ofiar, zaznaczono żeliwnymi płytami. Polski Cmentarz Wojenny w Katyniu otwarto i poświęcono 28 lipca 2000 roku podczas obchodów upamiętniających 60. rocznicę Zbrodni Katyńskiej. Obok cmentarza polskiego znajduje się „dolina śmierci” - cmentarz rosyjski, na którym leżą zamordowani w latach 30. obywatele byłego Związku Sowieckiego, a wśród nich polscy mieszkańcy jednej z ulic Smoleńska. W części rosyjskiej cmentarza znajdują się zbiorowe groby i place rytualne, do których prowadzą chodniki i mostki – droga życia. Prawdopodobnie pod nimi znajdują się kolejne zbiorowe mogiły.

Rano 11 kwietnia w Katyniu było niewiele osób. Byliśmy pierwszą grupą, która tam przyjechała. Na miejscu czekały już ekipy telewizyjne z różnych krajów (rosyjska, rumuńska, hiszpańska, francuska i arabska). Dziennikarze podchodzili i prosili o komentarze. Młgawka z naszego pobytu w Katyniu ukazała się w niedzielnym wydaniu Teleexpressu, zdjęcie z Mszy opublikowano w tygodniku „Gala”. Ksiądz kanonik Władysław Kasprzak odprawił Mszę św. nie tylko w intencji tych, którzy zginęli tu siedemdziesiąt lat temu, lecz także za tych, którzy zginęli tragicznie w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem. Ceremo-

nię zakończył słowami Ojca św. Jan Pawła II „*Wobec tej tragedii niech pozostanie wielkie milczenie, które jest modlitwą*”.

Potem w skupieniu zwiedzaliśmy cmentarz w Katyniu. Złożyliśmy kwiaty przed „bramą”, na mogiłach zapaliliśmy znicze i zatknęliśmy biało-czerwone chorągiewki.

Na murze z tablicami epitafijnymi szukaliśmy nazwisk oficerów pochodzących czy związanych z naszymi rodzinnymi miejscowościami, m.in. ppor. rez. Józefa Rzepki - nauczyciela ze Zglińca, ppor. rez. Franciszka Słomińskiego, prawnika, urodzonego w Wielichowie, ppor. rez. Józefa Skaleckiego, nauczyciela gimnazjum w Kościanie, mjr. rez. dr Franciszka Rosta, pochodzącego z Wielichowa i wielu innych.

Żałobne akcenty

Kiedy wróciliśmy do Smoleńska na ulicach nie było widać żadnych oznak tragedii poza biało-czerwoną flagą z kirem zawieszoną na hotelu Smoleńsk. Przecho-

ruskim, po odczytaniu ewangelii poprosił, by minutą ciszy uczcić tragicznie zmarłych Polaków. W hotelu pracownicy złożyli nam kondolencje.

Byliśmy blisko tej tragedii, a tak naprawdę wiedzieliśmy o niej znacznie mniej niż w Polsce. W białoruskiej telewizji pokazywano co jakiś czas kilkunastominutowe informacje o katastrofie. Na zakończenie każdej relacji emitowano fragmenty wystąpienia prezydenta Białorusi Aleksandra Łukaszenki adresowanego do Polaków, w którym mówił o współczuciu i składał kondolencje. Wiedzę czerpaliśmy tylko z rozmów telefonicznych z naszymi rodzinami w Polsce. W poniedziałek 12 kwietnia na Białorusi nie ukazały się żadne gazety, bowiem Białorusini obchodzili święto zmarłych. W hotelu, w którym się zatrzymaliśmy mieliśmy dostęp tylko do ograniczonej liczby programów informacyjnych i tylko białoruskich.



Dworzec kolejowy w Smoleńsku.

Fot. Zenon Józwiak

dziliśmy obok teatru, w którym miało odbyć się spotkanie Prezydenta Kaczyńskiego z 300-osobową grupą przedstawicieli rosyjskiej Polonii, także obok siedziby smoleńskiego NKWD, gdzie mordowano polskich oficerów.

Nie byliśmy na miejscu katastrofy.

Wieczorem wróciliśmy do Mińska. Tam ludzie żyli już własnym życiem, choć dostrzeżliśmy również żałobne akcenty, ale tylko w kościołach. W kościele archikatedralnym Najświętszej Panny Marii wystawiono portret Lecha Kaczyńskiego przepasany wstęgą. W kościele pw. św. Heleny i Szymona, gdzie duchowny odprawił mszę w języku biało-

Wieczorem tegoż dnia udaliśmy się w drogę powrotną do Polski. Odprawa graniczna trwała bardzo krótko. Zatrzymaliśmy się w Warszawie, poszliśmy przed pałac prezydencki, by oddać hołd tragicznie zmarłemu Prezydentowi. To był wtorkowy wczesny ranek. Dopiero na miejscu dowiedzieliśmy się, że tego dnia przywiezione zostanie do Polski ciało prezydentowej Marii Kaczyńskiej, że ulicami stolicy przejedzie żałobny kondukt.

Ten wyjazd pozostanie w mojej pamięci na całe życie.

ZENON JÓZWIAK

Policjant Sylwester Przybylski z Jarogniewic (1913 - 1940)

Jarogniewice to wieś, której początki sięgają XIII w. W 1300 r. dzierżył ją komes Jarogniew. Od niego też wzięta się nazwa wioski. W roku 1418 panem na Jarogniewicach był jak napisano „dzielny wojak przeciw Krzyżakom” Jan Jarogniewski. Prawdopodobnie to jego córka Jadwiga wniosła połowę Jarogniewic Rydzyńskim. Po Rydzyńskich, poprzez różne koligacje rodzinne Jarogniewice należały do Ciświckich, Solińskich, Sokolnickich, których syn Józef z powodu problemów finansowych był zmuszony majątek sprzedać. 1825 r. to kolejny ważny etap w historii wioski. Na licytacji kupił wieś Jan Żółtowski z Ujazdu. Członkowie tej rodziny dawali przykład wielkiego patriotyzmu i przywiązania do ziemi. Wspomnę tutaj choćby o Marcellim Żółtowskim, który urodził się w 1900 r. Gospodarował w Jarogniewicach, Głuchowie i Zadorach. Był kawalerem Orderu Virtuti Militari za walki w wojnie 1920 r. Przewodniczył kościańskiemu kołu Wielkopolskiego Związku Ziemian. Zmobilizowany został jako podporucznik do 17 Pułku Ułanów. Brał udział w wojnie obronnej w 1939 r. Po internowaniu w Kozielsku, 17 kwietnia 1940 r. został zamordowany przez Sowietów w lesie katyńskim. Podzielił, więc los Sylwestra Przybylskiego.

Został policjantem

Jarogniewice to wioska należąca do prastarej parafii Głuchowo. Sylwester Przybylski urodził się 31 grudnia 1913 r. w swej rodzinnej wsi. Był synem Marcina i Wiktorii. •ródół na jego temat jest bardzo mało. Z 1989 r. pochodzi list od jego brata. Zacytuje tutaj fragment.

„Nie znam losów mego brata Sylwestra Przybylskiego Był funkcjonariuszem Policji Państwowej. Z tego,

co pamiętam, przed wojną służył w posterunku, w południowo- wschodniej Polsce. Pierwszą i ostatnią wiadomość przesłał do rodziny 17 grudnia 1939 r. Napisał, że jest i żyje oraz czeka na odpowiedź w Ostaszkwie. Od tamtego czasu słuch po nim zaginął”.

Z 1990 r. pochodzi list Zofii Owczarczak – Skorupińskiej z Opola, przesłany do dra Piotra Bauera i red. Jerzego Zielonki:

„Pozwalam sobie przesłać dokument, który z pewnością poszerzy fakty związane z tragedią kościaniaków – ofiar totalitarnych systemów. W imieniu rodziny serdecznie dziękuję za tropienie śladów w tej strasznej zbrodni. Możecie państwo mieć wielką satysfakcję - życząc dalszych sukcesów i serdecznie pozdrawiam. P.S. Sylwester Przybylski był bratem matki (Marii) mego męża Eugeniusza Skorupińskiego. Z dokumentu PCK z 25 października 1990 r. adresowanego do Eugeniusza Skorupińskiego ... Przybylski Sylwester ... przebywający w obozie dla jeńców wojennych w Ostaszkwie figuruje na wykazie sporządzonym przez NKWD w Moskwie z roku 1940, s. 18. poz. 96 z poleceniem przekazania do dyspozycji szefa Zarządu NKWD Kalinińskiej Oblasti. Należy przyjąć, że Sylwester Przybylski został zamordowany w 1940 r.”

Z dalszych ustaleń wynika, iż 17 grudnia 1939 r. wysłał kartę pocztową z obozu jenieckiego w Ostaszkwie do swego ojca Marcina w Jarogniewicach. Jest to ten list, o którym wspomina zacytowany wcześniej jego brat. Zamordowany został w Twerze. Jego ciało spoczęło w zbiorowej mogile w Miednoje. Figuruje na liście wysyłkowej z Ostaszkowa z dnia 1 kwietnia 1940 r., poz. 96.

Śmierć z dala od domu

Sylwester Przybylski z Jarogniewic był jednym z 6314 jeńców z obozu w

Ostaszkwie, którzy zostali wymordowani przez NKWD. Konwoje z tego obozu były organizowane w dniach od 4 kwietnia do 16 maja 1940 r. Wszystkie ofiary mordu zostały pochowane w 20 zbiorowych mogiłach w miejscowości Miednoje. Konwoje jeńców były doprowadzane piechotą po lodzie jeziora Seliger do miejscowości Tupik. Ze stacji kolejowej Soroga, dalej wagonami przez stacje Piena i Lichosławł trafiały do Tweru, do budynku NKWD (obecnie Twerski Instytut Medyczny). W pomieszczeniu piwnicznym identyfikowano każdego jeńca, po czym skutego doprowadzano do celi z drzwiami obitymi wołokiem. Podobnie jak w Charkowie strzałem z pistoletu Walther pozbawiano go życia. Na początku po nadejściu konwoju z 390 skazanymi kaci mieli trudności z wykonaniem egzekucji takiej ilości osób i następne grupy nie przekraczały 250 ludzi. Zwłoki zamordowanych wynoszono na oczekujące ciężarówkę i wywożono do odległej o 32 kilometry miejscowości Miednoje.

Tam na terenie lotniskowym NKWD, na skraju lasu znajdował się przygotowany już przez koparkę sprowadzoną z Moskwy dół o głębokości 4-6 m, mogący pomieścić 250 zwłok. Trupy zrzucano, po czym koparka zasypywała je, przygotowując jednocześnie dół na następny dzień. Według zeznań byłego naczelnika kalinińskiego (twerskiego) NKWD Tokariewa do przeprowadzenia zbrodni została przysłana grupa w skład, której weszli m.in. major Siniegubow, kombryg. Kriwienko i major Błochin. To prawdopodobnie z rąk jednego z tych katów zginął Sylwester Przybylski - syn ziemi kościańskiej.

GERWAZY KONOPCZYŃSKI

„Bon ami” z Szarych Szeregów

Miałam wspaniałe koleżanki, z wieloma byłam w „Szarych Szeregach”. Myszka Radajewska zginęła w Powstaniu Warszawskim, podobnie Magda Morawska. Magda była w wyższej klasie, ale myśmy wszystkie bardzo się przyjaźniły. Gdybym się znowu urodziła i miała wybierać – oczywiście poszłabym do Urszulanek – mówi Urszula Hoffmann, harcerka „Szarych Szeregów”, sekretarz Okręgu „Wielkopolska” SZŻAK.

Laudowie z trylogii

- Moja matka Pelagia pochodziła z Laudowiczów, o których Sienkiewicz pisał w trylogii. Około XV w. ród przeniósł się z Litwy do Polski; osiedli na Śląsku i w Wielkopolsce. 20 października 1939 r. wujka Leona Laudowicza – mamusi stryjecznego brata, który miał majątek w Nochowie - rozstrzelano w publicznej egzekucji na rynku w Śremie. Drugi wujek Waław Laudowicz, który gospodarował pod Kaliszem, walczył w kampanii wrześniowej, został internowany przez Sowieców i zamordowany w Katyniu. Mógł się uratować. Ludzie z jego majątku proponowali, by uciekł z nimi przebrany w cywilne ubranie. Ale gdzie tam, odpowiedział im: - Jestem oficerem Wojska Polskiego, mundur zobowiązuje, muszę zachowywać się jak oficer – opowiada Urszula Hoffmann z Poznania.

Zanim wybuchła wojna Urszula Hoffmann, uczennica elitarnego gimnazjum Sióstr Urszulanek w Poznaniu, zdążyła zdać „małą maturę”. Szkoła słynęła z wysokiego poziomu nauczania.

- Natalia Tułasiewicz, którą potem ogłoszono błogosławioną, była bardzo wymagającą, ale dobrą polonistką, wciąż pamiętam jej piękny głos. Kresowianka Matka Zbigniewa Jaworska, uczyła



Urszula Hoffmann w saloniku domu na Grunwaldzkiej

► łaciny, po wojnie doprowadziła nas do matury. W 1938 r. pojechałyśmy z nią na cały miesiąc do Włoch na kanonizację Andrzeja Boboli, mieszkaliśmy w Watykanie blisko papieża. Miałam wspa- niałe koleżanki, z wieloma byłam w „Szarych Szeregach”: Monika Bytne- rowicz czyli „Muszka”, Danusia Ol- szewska, obecnie Kseniowa, Irka Pe- tri, Ola Pospieszalska, bliźniaczki - Maruszka i Nula Bykowska, Myszka Radajewska, która zginęła w Powsta- niu Warszawskim, podobnie Magda Morawska. Magda była w wyższej klasie, ale myśmy wszystkie bardzo się przyjaźniły. Gdybym się ponow-

ca życia nie znosiła Niemców i ich języ- ka. Jej siostra wyemigrowała do Ame- ryki, jak tylko się urządziła ściągnęła do siebie Pelagię, jej męża i kilkuletniego syna. Po kilku latach wrócili, bo Pelagia usychała z tęsknoty za Polską. Władysław poślubił kobietę o tym samym imie- niu co matka – Pelagię. Ze starych fo- tografii spogląda piękna kobieta. Była też energiczna i zaradna.

- Mamusia była autorką większości inicjatyw. Mieszkaliśmy na Ogrodowej w kamienicy hrabiny Ogińskiej, za wy- najem płaciliśmy krocie. Mamusia do- wiedziała się o sprzedaży działek na Grunwaldzie, uznała że przecież nie mo- zemy wiecznie siedzieć na Ogrodowej.

dy wybuchła wojna. Do Poznania przy- byli Baltendeutsche, znali Hoffmanna i uparli się, by nadal pracował w firmie. Urszula Hoffmann mówi, że nie wszy- scy Niemcy byli hitlerowcami. Przyzwo- itym człowiekiem okazał się dyrektor jednego z ryzyk banków - Erich Ste- phany, w Poznaniu powołany na likwi- datora przedwojennej „Silesii”. Dora- dził, żeby dzieciom znaleźć zatrudnie- nie, bo będą wywozić na roboty. Brat Bogusław zaczął pomagał pewnemu ar- tyście malarzowi, który prowadził w okupację warsztat malarski, Urszulę przydzielono jako pomoc domową ro- dzinie Stephany.

Dom na Grunwaldzie musieli opuścić



W mieszkaniu kontaktowym na Libelta, od lewej: Urszula Hoffmann, Irena Petri i Janka Helakówna

nie urodziła i miała wybierać – oczy- wiście poszłam do Urszulanek.

Niech nikogo nie zmyli niemiec- kobrzmiające nazwisko Hoffmannowie to patrioci, którzy od dawna byli ca- łym sercem za Polską. Ojciec Władysław przed I wojną światową studio- wał w Hamburgu. Tam przystąpił do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. W 1914 r. pruska armia, nie interesując się jego poglądami, po- wołała go do wojska. Nie chciał wal- czyć, nikogo nie zabił, bo w ogóle nie użył broni. Jego matka Pelagia była dzieckiem wrzesińskim, do koń-

Rodzice kupili działkę i wybudowali dom, w którym do dzisiaj mieszkamy z bratem.

Pod bokiem Greisera

Rodzinie bardzo dobrze się powodzi- ło. Władysław Hoffman, gruntownie wykształcony, władający biegle kilka- ma językami, pracował w filii „Silesii”, która należała koncernu węglowego „Robur”, jako prokurent, potem wice- dyrektor. „Silesia” eksportowała węgiel między innymi do Rygi. Kontakty z ryską firmą JC Jessen przydały się, kie-

już 20 grudnia 1939 r. Zamieszkali na Górczynie w mieszkaniu powstańca wielkopolskiego, którego wysiedlono do Generalnego Gubernatorstwa. Woj- na, wysiedlenia, codzienny terror spo- wodował zerwanie kontaktów z przyja- ciółmi, szkolnymi koleżankami. Odnaleźli się przypadkiem. Urszula spotkała na ulicy starszą koleżankę Irenę Petri, któ- ra pracowała w sklepie elektrycznym na Półwiejskiej.

- Ten sklep stał się dla nas punk- tem kontaktowym, chociaż póki pro- wadził go Niemiec, musieliśmy się konspirować. Poprawiło się jak go

wzięli do wojska, jego ekscentryczna żona chodziła po znajomych, a sklepem się nie interesowała. Robiliśmy, co chcieliśmy. Irka Petri zachęcała nas do spotkań, chodziliśmy na spacer, opowiadaliśmy sobie o historii Polski, itd. Z początku nawet nie wiedzieliśmy, że tworzymy jakąś zorganizowaną grupę. Brat Boguś też był w „Szarych Szeregach”. Realizowaliśmy program Orszy „Dziś, jutro, pojutrze”, uczyliśmy młodsze dzieci, wkuwaliśmy języki obce, na zbiórkach obchodziliśmy uroczyste narodowe święta 3 Maja, 11 listopada. Młodsza siostra Irki Basia sprzedawała w sklepie warzywnym, kupowałam u niej ziemniaki, nawet pomarańcze, dawałam jej niemieckie kartki żywnościowe, ale ona ich nie wycinała i dzięki temu mogliśmy pomóc potrzebującym. Wsiadałam do wybranego tramwaju, konduktorowi, który także był w konspiracji, zostawiałam torbę z jedzeniem, on przekazywał ją naszym kolegom, którzy już czekali na przystanku.

Harcerzy przybywało, wkrótce ich drużyna liczyła 15 osób chłopców i dziewcząt. Tworzyli tzw. Małą AKH-ę (Akademickie Koło Harcerskie). W 1941 r. zostali zaprzysiężeni przez hm Irenę Petri, przyjęli nazwę „Bobry”. W lecie chodzili kąpać się nad Wartę, ale było za płytko, więc robili pogłębienia, stąd „Bobry”. Urszula przybrała pseudonim „Bon ami” – dobry przyjaciel.

W służbowym mieszkaniu zaprzyjaźnionej rodziny Helaków na Libelta organizowali zbiórki. Niemiec zapytał raz Helakową, co ta młodzież tak się do nich schodzi, ta przytomnie odparła: - Wolę żeby w domu siedzieli pod moim okiem niżby mieli się szwendać po mieście i – nie daj Boże - narozrabiać.

Okolo 1942 r. aresztowano jednego z braci Knapskich, który działał w grupie u „Witaszka”. Ich rodziców już wcześniej wyrzucono z mieszkania do lokalu naprzeciwko zamku. Starszy brat Knapskiego Tadeusz był narzeczonym Ireny Petri, więc zaczęli się tam spotykać. Sprawdziło się stare powiedzenie, że pod latarnią najciemniej. Harcerze zbierali się w mieszkaniu Knapskich, nad nimi zaś na piętrze urzędował Gauleiter Kraju Warty Arthur Greiser. Nikt nigdy nie wykrył ich kryjówek.

Drużyna składała się prawie w całości z przedwojennych harcerzy; którzy



Katyń 2000 r. Z Ryszardem Kaczorowskim, prezydentem RP na Uchodźstwie.

Fot (3x) z archiwum Urszuli Hoffmann

dobrze się znali, nieraz sprawdzili w działaniu, dlatego wyspy ich omijały. Co prawda aresztowano Jankę Helakównę, ale – jak wspomina Urszula Hoffmann: - Ona była okropnie pyskata. Poszła do szpitala odwiedzić chorego brata, tam wdała się w polityczną dyskusję z chorym Niemcem, a ten, jak tylko wyszedł ze szpitala, zadenuncjował ją i dwa tygodnie przesiedziała w obozie w Żabikowie.

Tak więc, kiedy „mała AKH-a” trzymała się mocno, w „Dużej AKH” ktoś dopuścił się zdrady. 18 lutego 1944 r. aresztowano Irenę Petri, Olę Bieleńską i wiele innych harcerzek. Petri trafiła do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie nadal działała w harcerstwie. Osierocone „Bobry” ogarnął wielki smutek, ale zawzięły się i działały ze wzmoczoną siłą. Rosjanie są już blisko, więc zaczęli się uczyć rosyjskiego, by poznać języka wroga.

Na uczelni i w związku

Po wojnie Hoffmannowie odzyskali dom. Urszula Hoffmann podjęła pracę w redakcji Polpressu, gdzie przez kilka miesięcy kierowała wydziałem ogólnym. Od koleżanek dowiedziała się, że SS. Urszulanki wyremontowały budy-

nek i prowadzą nabór do liceum. Do wakacji ukończyła pierwszą klasę, 14 lutego 1946 r. już miała maturę w kieszeni. Znała świetnie język francuski, pociągała ją romanistyka, ale profesor Florian Barciński przekonał ją do Akademii Handlowej. W 1946 r. rozpoczęła studia ekonomiczne, a w 1950 r. obroniła pracę magisterską.

- Już na trzecim roku zaproponowano mi asystenturę u prof. Bolesława Kasprowicza, który był rektorem Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Sopocie. W Poznaniu kierował katedrą Ekonomiki Transportu Morskiego i Komunikacji. Miałam już temat pracy doktorskiej, ale ministerstwu przypomniło się, że Poznań nie leży nad morzem i katedrę zlikwidowali. Wolne miejsce było tylko w rachunkowości, a ja przecież jestem bardziej humanistką, ale – co było robić – przyjąłm asystenturę.

Przekonała się do rachunkowości i pracowała jako starszy asystent w Katedrze Rachunkowości, ale po kilku latach przyplątało się zapalenie strun głosowych. Studenci co prawda byli wtedy grzeczni, ale nie było mikrofonów, a mówić



► trzeba było głośno. W końcu lekarze zakazali jej wykładać. Drugi raz dobrze zapowiadająca się kariera legła w gruzach.

Na uczelni tworzonego nowego wydziału ogólnie-ekonomicznego, Urszula Hoffmann kierowała nim około 4 lata. Nowy rektor Akademii Handlowej prof. Ryszard Domański zaproponował jej posadę sekretarza rektora. Na tym stanowisku pracowała ponad 30 lat. W tym czasie przez akademię przewinęło się pięciu rektorów. Z wszystkimi się dogadywała, bo nie wtrącała się do papierów.

Uczelnia wciąż o niej pamięta. Na spotkaniu w związku z obchodami 80. rocznicy powstania stowarzyszenia absolwentów i 85. rocznicy istnienia Akademii Ekonomicznej – dzisiaj Uniwersytet Ekonomiczny, rektor prof. Marian Gorynia poprosił ją o recenzję jubileuszowego wydawnictwa pt. „Wielka księga Uniwersytetu Ekonomicznego od A do Z”.

- Publikacja liczy 300 stron, naprawowałam się przy korekcie. Dwa miesiące nad nią spędziłam. Księga ukazała się na 85-lecie uczelni.

Po powstaniu Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej konspiracyjni harcerze włączyli się do związku. Pierwszym prezesem wielkopolskich akowców był cichociemny Stefan Ignaszak, to on zaproponował Urszuli Hoffmann stanowisko sekretarza.

- Jak były wybory do zarządu wybrano mnie i jeszcze kilku szarosze-regowców. Akowcy liczyli, że nasze roczniki są młodsze od nich. W moim przypadku to nie do końca prawda, bo w tym roku kończę 88 lat. Sekretarzem zarządu jestem już 5. kadencję, trzy razy w tygodniu dyżuruję w siedzibie związku. Przygotowuję zebrania i zarządu okręgu, i plenarne, piszę protokoły z tych zebrań, załatwiam pocztę oraz mnóstwo bieżących spraw. Prowadzę kalendarium wydarzeń związkowych od śmierci Sławki Woch, piszę artykuły do Biuletynu Informacyjnego ZO „Wielkopolska” ŚZŻAK. Lubię tę działalność, czuję się potrzebna. Jakbym nie pracowała w związku, pewnie miałabym bardzo czysto w domu, okna pomyte, nowe firanki, ale okropnie bym się nudziła.

TERESA MASŁOWSKA

Speclagier dla „wrogów ludu”

Zielony skwer w centrum Poznania. Podobny do innych; drzewa, trawa, krzaki, kikuty drzew spalonych przez wandalizm sterczą złowrogo w niebo. Dokładny obserwator dostrzeże jednak sterzki fundamentów po zburzonych barakach. Właśnie w tych barakach w 1945 roku NKWD zamykało „wrogów ludu”; głównie akowców, ale także członków Narodowych Sił Zbrojnych i Stronnictwa Narodowego.

Krótko po wojnie w centrum Poznania, za murami okolonymi drutem kolczastym powstał obóz, w którym cierpieli żołnierze podziemia. W dzielnicy Grunwald NKWD urządziło Speclagier nr 2 dla „wrogów ludu”; akowców, członków Narodowych Sił Zbrojnych, Stronnictwa Narodowego. Enkawudziści uciekali się nie tylko do brutalnych przesłuchań, wiedzieli, że od fizycznych tortur gorsze może być upokorzenie jakim było więzienie żołnierzy podziemia z ich niedawnymi wrogami. Oficera AK Kazimierza Moczarskiego wtrącono do jednej celi ze zbrodniarzem nazistowskim Jürgenem Stroopem, w Poznaniu żołnierzy podziemia więziono razem z niemieckimi konfidentami i volksdeutschami. To była powszechna sowiecka praktyka, którą później przejęła „nasza” bezpieka.

Relacja „Zielonej Pani”

W drewnianych barakach w potwornych warunkach koczowało kilkanaście tysięcy osób. Głód zaglądał im w oczy, bo kawałek chleba i miska cienkiej zupy, stanowiły całodzienne wyżywienie. Wkrótce zaczęły się szerzyć choroby; róża i czerwotka. W poznańskim speclagrze kilka miesięcy spędziła nauczycielka tajnych kompletów Maria Bielawina, żołnierz AK, ps. „Zielona Pani”. Bielawina aresztowana przez NKWD w nocy z 30 kwietnia na 1 maja 1945 r. trafiła do więzienia na warszawskiej Pradze, gdzie była przesłuchiwana i torturowana przez ubeków, potem był obóz w Rembertowie, a po rozbięciu go przez akowców, Speclagier NKWD nr 2 w Poznaniu. Po latach tak opowiadała o warunkach tam panujących:

„Przywieziono nas w rejon Poznania. Tu był duży obóz, liczący podobno kilkanaście tysięcy więźniów. Byli Polacy, Niemcy, Rosjanie. Sześciu baraków. Obóz niczym dzielnica, zamknięte ulice... Żadnego kontaktu ze światem spoza drutów kolczastych i murów. Nie było mowy ani o korespondencji, ani o paczkach od rodzin. Rozlokowano więźniów w drewnianych barakach. Baraki były tak zapluskwione, że nie można było spać. Spałyśmy na podłodze. Zewsząd lały na nas pluskwy, spadały z sufitu. Zapalałyśmy światło, nic nie pomagało.”

Minęło kilkadziesiąt lat. O tym, że w Poznaniu funkcjonował obóz NKWD świadczy niewiele dokumentów, m.in. krótka notatka polskiego podziemia oraz wspomnienia Bielawiny. Nazwiska więźniów poznańskiego speclagru nigdy by nie ujrzały światła dziennego, gdyby nie odkrycie historyka dr. Waldemara Handke z poznańskiego IPN, który znalazł listę w zasobach archiwalnych instytutu. I tak, z kilkunastu tysięcy anonimowych więźniów udało się poznać 828 nazwiska, głównie żołnierzy AK. Część z nich aresztowano już w 1944 r. i - przed poznańskim łagrem - zdążyli poznać smak sowieckiej niewoli w innych miejscach internowania. Na akowców „polowali” enkawudziści, sowiecki kontrwywiad „Smiersz” oraz polska bezpieka. Do aresztowań przystępowali zaraz po przejściu sowieckiego frontu. Do poznańskiego speclagru więźniowie trafili z centralnej i wschodniej Polski, głównie z Białegostoku, Łodzi, Warszawy, ale także z samego Poznania.

Na liście z 828 nazwiskami prze-

ważają żołnierze Armii Krajowej, szeregowcy i wyżsi stopniem, którzy pełnili ważne funkcje w strukturach Polskiego Państwa Podziemnego. Nie sposób wymienić wszystkich nazwisk, trzeba jednak wspomnieć, że w lutym 1945 r. NKWD zatrzymało płk. Wojska Polskiego i AK Kazimierza Putka, ps. „Zwojny”, „Nawój”, „Gama”, komendanta Podokręgu Rzeszów AK. W marcu 1945 r. w ręce Sowietów wpadł Inspektor Rejon-

Hilarego Moraczewskiego, w wykazie więźniów odnalazła akowców, z którymi działała w Piotrkowie Trybunalskim.

- Franciszka Karłowskiego, ps. „Bonus” i „Prawdzie” poznałam w Piotrkowie w 1944 r., był kwatermistrem w 25 Pułku Piechoty AK. Przechowywano go w obozie w Rembertowie. Po wojnie z żoną Elżbietą Dudkowską zamieszkali w Poznaniu. Witold Skórzewski, ps. „Tomasz” z

cej zapomnieć. Nie wiedziałam, że oni byli przetrzymywani w Poznaniu, ani że na Słonecznej był jakiś obóz...

Resztki fundamentów

Po dawnym specałgrze pozostały resztki fundamentów. Trudno domyślić się, że to miejsce kryje wiele cierpienia. Polskie podziemie wiedziało o obozie, ale Poznaniacy nie mieli pojęcia o tym piekle za drutami. Nic dziwnego, ist-



Po barakach nie ma śladów, tylko kikuty spalonych drzew sterczą złowrogo w niebo.

Fot. Teresa Masłowska

wy AK podokręgu zachodniego Obszaru Warszawskiego - mjr Wacław Ptaszyński, ps. „Walery”. Także w marcu tegoż roku zatrzymano mjr. Mieczysława Kędzierskiego – szefa uzbrojenia Warszawskiego Okręgu AK, wybitnego specjalistę od przemysłu zbrojeniowego.

Maria Krzyżańska z Poznania, w czasie okupacji łączniczka w piotrkowskim oddziale Kedywu kapitana

piotrkowskiego Kedywu był więziony na Gestapo w tym samym czasie, kiedy i mnie aresztowali. Z tego co wiem, przystąpił do tzw. drugiej konspiracji, wytoczono mu proces i skazano na 5 lat więzienia. Po wojnie raczej się nie spotykaliśmy, chyba tylko raz Kazimierz Tazbir, ps. „Tur” przyszedł do nas do domu. Tym bardziej nie mówiło się o Armii Krajowej, każdy chciał wtedy jak najwię-

nienie obozu trzymano w tajemnicy.

- W 1936 roku, kiedy moi rodzice budowali dom przy ulicy Grunwaldzkiej, wokół były same pola. W wojnę wysiedlono nas do mieszkania na Górczynie. W okupację od ulicy Grunwaldzkiej do Słonecznej ciągnęły się baraki, w których żołnierze Wehrmachtu dochodzili do zdro-

► wia. Pierwsze słyszę, że tam w 1945 r. urządzono obóz dla akowców – mówi Urszula Hoffmann, harcerka „Szarych Szeeregów”.

Historycy twierdzą, że obozy tworzone przez Sowieców po wkroczeniu do Polski, są ciągle niezbadaną kartą naszej historii. Brak dokumentów, świadkowie najczęściej już nie żyją. Dlatego tak ważna jest lista, która zachowała się w archiwum poznańskiego oddziału IPN.

- Takie miejsca, które są przez wielu Wielkopolan zapomniane, powinny zostać przywrócone zbiorowej pamięci, by nadać odpowiednie znaczenie i odpowiedni kontekst historyczny wydarzeniom, które przez całe lata określano mianem „wyzwolenia”. Jak widać dla wielu żołnierzy i oficerów AK czy NSZ nie było wolności, a w zamian za lata walki z niemieckim okupantem, czekało sowieckie więzienie - stwierdza dr Waldemar Handke.

Maria Bielawina wyszła na wolność na mocy amnestii z 29 lipca 1945 r. Inni mieli mniej szczęścia. Co prawda poznański speclagier

zlikwidowano w końcu lipcu 1945 r., ale wielu akowców nie odzyskało wolności. Lista z 828 nazwiskami to więźniowie przewiezieni z poznańskiego speclagru do więzienia w Rawiczu, w którym aż do 1956 r. przetrzymywano więźniów politycznych. Próżno jednak szukać w archiwum rawickiego więzienia nazwisk więźniów poznańskiego speclagru, nie ma po nich śladu. Po likwidacji speclagru więźniów przekazano „pod opiekę” polskiej bezpiece.

- Do transportu więźniów, za który odpowiadał porucznik Kierget z WUBP, wyznaczono konwój składający się ze 107 żołnierzy z 14 pp Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego z porucznikiem Burgatem na czele. Uwięzieni zostali przetransportowani do Rawicza nocą z 31 lipca na 1 sierpnia 1945 r. Można więc przyjąć, że jest to data likwidacji Speclagru nr 2 NKWD w Poznaniu. Z transportu do Rawicza udało się zbiec 39 osobom. Ci zaś, którzy trafili do Rawicza byli poddani przesłuchaniom przez specjalną grupę ubeków z Warszawy, z osławionym Adamem Humerem na czele - informuje dr Waldemar Handke.

TERESA MASŁOWSKA

Na rozkaz Stalina

Sowieci zakładali speclagry w całej Polsce. Najwcześniej, bo już w 1944 r. na wschodzie kraju wraz z pojawieniem się tam Armii Czerwonej. Rozkazem Stalina (dyrektywa nr 220169 z 31 lipca 1944 r.) NKWD i kontrwywiad wojskowy „Smiersz” za linią frontu tworzył obozy i więzienia dla żołnierzy podziemia niepodległościowego. Początkowo szeregowych żołnierzy AK przymusowo wcielano do 1 Armii Wojska Polskiego, oficerów zamykano w więzieniach, jednak po licznych dezercjach także szeregowców wtrącano do więzień, część zesłano do obozów pracy w głąb Związku Radzieckiego. Wielu już nigdy stamtąd nie wróciło. Grupy NKWD i „Smiersz” operowały w Polsce do 1947 r., potem ich robotę przejęli funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Warunki w speclagrach nie różniły się od niemieckich obozów koncentracyjnych, zresztą wiele z nich wykorzystano do przetrzymywania Polaków. W 1945 r. w Polsce istniało kilkadziesiąt speclagrów, m.in. w Jaworznie, Wadowicach, Krotoszynie, Gdańsku, Łodzi, Lesznie-Gronowie, Kcyni, Inowrocławiu, Oświęcimiu, Kruszwicy, Stalowej Woli, Będzinie, Rembertowie. Na ten ostatni akowcy przeprowadzili udaną akcję odbijając swoich towarzyszy. W nocy z 20 na 21 maja 1945 r. oddział podporucznika Edwarda Wasilewskiego, ps. „Wichura” rozbił obóz i uwolnił około 600 osób. Po tym zdarzeniu wkrótce akowców wywieziono do Łodzi, Wronek, 4 lipca około tysiąc osób przetransportowano do speclagru przy ulicy Słonecznej w Poznaniu. (tm)

* Korzystałam m.in. z publikacji Grzegorza Barczykowskiego, Waldemara Handke, Rafała Kościńskiego „Speclagier NKWD nr 2 w Poznaniu”, Poznań 2009. W książce znajduje się lista 828 nazwisk więźniów speclagru

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Ostatnio tradycyjne zeszyty poszły w kąt, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy drugi odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2010r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: www.maciejmorawski.blox.pl

1 lipca

Z materiałów przysłanych przez Mariusza Kubika dowiedziałem się, że wczoraj minęła 99. rocznica urodzin Czesława Miłosza. Tak, ów laureat literackiej nagrody Nobla za r. 1980, urodził się w Szetejniach nad Niewiażą (Litwa) 30 czerwca 1911 r. Ileż moich wspomnień wiąże się z tym poetą i pisarzem. Pamiętam, jak przed laty, zaraz po wybraniu wolności, mieszkał w Maisons-Laffitte, w pierwszym domu Kultury „na Corneille’u” -jakeśmy wówczas mawiali. Przed ową willą przez jakiś czas widywało się francuskiego policjanta w cywilu. Szlachetna Francja (słusznie) obawiała się prób porwania Miłosza przez UB... Takie to były jeszcze czasy...

W latach pięćdziesiątych widywałem nieraz Miłosza w dzielnicy łańciskiej Paryża. Tam, o ile się nie mylę, mieszkała przez pewien czas Jeanne Hersch, osoba bliska Miłoszowi, tłumaczka jego dzieł na francuski, słynny filozof, moralista, zwolenniczka federacji europejskiej (złośliwcy mawiali: Jeanne chce z Europy zrobić dużą Szwajcarię. Wyjaśniam, że J.H. urodziła się w Genewie, tam później wykładała i tam zmarła w 2000 r.). Miłosz, jak pamiętam, raz czy dwa odwiedził w dawnych latach mego ojca na 174 rue de l’Université. Wśród innych raportów ojca przeznaczonych dla władz RP na Wychodźstwie w Londynie jest też sprawozdanie ze spotkania z Miłoszem. Tekst ten przed laty Andrzej Dobosz opublikował z ciekawym komentarzem w „Kulturze”. Ojciec - podobnie jak ja - w przeciwieństwie do wielu emigrantów politycznych - odnosił się z pewną sympatią do Miłosza. Nie podobało się to ultra bojowej grupie „niezłomnych”, np. ludziom skupionym wokół Ryszarda Wragi, słynnego „dwójkarza” i publicysty. Także i mnie atakowano za

LISTOPADOWY DODATEK DO „WIADOMOŚCI KOŚCIAŃSKICH”

Podzwonne dla cmentarza zakładowego

„Wiadomości Kościańskie” poświęcają ten tekst pamięci dra med. Henryka Florkowskiego – lekarza, regionalisty, współzałożyciela, długoletniego wiceprezesa i prezesa Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej, patrona Muzeum Regionalnego i naszego Przyjaciela

Cmentarz Krajowego Zakładu Psychiatrycznego w Kościanie, przyległy do Parku Miejskiego, skrywał w sobie wiele wojennych tajemnic. Tutaj latami chowano nie tylko zmarłe pacjentki i pacjentów zakładu, których zwłok rodziny z wielu względów nie chciały – bądź nie mogły – odebrać; tutaj naziści urządzili sobie cmentarz zbrodni. 7 września 1939 roku do miasta wkroczyły czołówki Wehrmachtu – rozpoczął się okres terroru. I wtedy cmentarz ten, zwany potocznie cmentarzem zakładowym, stał się miejscem szczególnym – jakże ważnym dla okupacyjnych władz.

Nazistowskie zbrodnie

Zaczął się od tego, że 2 października 1939 roku, w poniedziałek, pod ścianą ratusza na kościańskim Rynku komando specjalne policji bezpieczeństwa z Poznania [Einsatzkommando 14/VI] pod dowództwem SS-Sturmabführera Gerharda Flescha rozstrzelało 8 Polaków. Wydarzenie to zostało już szczegółowo opisane w licznych publikacjach. Jako miejsce pochowania ofiar tej zbrodni dowódca komanda wybrał cmentarz zakładowy. Krótco przed egzekucją zaprowadzono tam pod eskortą grupę więźniów – Polaków, którzy na krańcu cmentarza, po lewej stronie, blisko ogrodzenia, wykopali małą zbiorową mogiłę o kształcie prostokąta. W 1946 roku w Kościanie wydano księgę pamiątkową pt. „Z katakumb wspomnień”. Zawiera ona m.in. dramatyczny opis tamtego pochówku ośmiu polskich patriotów:

„Wóz stanął na cmentarzu zakładowym. Szumią jesiennym szmerem drzewa Parku Miejskiego. W niepozornym kącie cmentarza grupa więźniów – zakładników kopie mogiłę. A obok leżą ciała pomordowanych braci. Do wiecznego snu żałosnie szumi im brzoza płacząca i towarzyszą szepty modlitwy kapiących rodaków. Kapiącym serca tak mocno bi-

ją...Rydle wysuwają się z drżących dłońmi...Boże! Boże! Prędej, prędzej! – padają słowa niemieckiej komendy. Mogiła gotowa. Buty oprawców podrzucają ciała. Za chwilę pomordowani znaleźli w głębi dołu spokój przed nienawistnym spojrzeniem wroga. Ostatnie rzuty rydli. Bohaterski ksiądz Graszyński, który swe życie chciał oddać w zamian za inne, żegna swych towarzyszy i ukradkiem błogosławi mogiłę. Wyrzybkowski z Kościana i Dubski z Kobyl-

nik kończą zasypywanie. Głowy opuszczone i nawał myśli. Co ich czeka? Piasek pokrył mogiłę zupełnie. Ciężkie buty oprawców deptają grób, ubijając ziemię – z niemiecką dokładnością – raz przy razie...ze śmiechem mocno. No tak. Są zadowoleni. Teraz prowadzą grupę moralnie zmęczonych więźniów do więzienia na dalsze, niepełne jutro, a sami idą na piwo. O! Niemcy lubią porządek(...)



Dwaj wybitni regionaliści kościańscy dr mer. Henryk Florkowski (z prawej) z twórcą Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej prof. Bolesławem Iglowiczem.

Fot. Bogdan Ludowicz



2 listopada 1945r. Eskshumacja na cmentarzu zakładowym.

Fot. Czesław Ludowicz

▶ Idalej:

„A na cmentarzu zakładowym przybyła jedna wielka mogiła – w zapomnianym kącie. Nie ma na niej krzyża, pomnika, wieńców, ani kwiatów. Niby nieznaną, zwykłą, szarą – jak życie umęczonego więźnia patrioty. Lecz wszyscy wiedzą, kto tam spoczywa. I dla spoczywających w śnie wiecznym najwspanialszym pomnikiem – to miłość rodaków. Miłość i wieczna pamięć. Za wspólną sprawę złożyli ofiarę swego życia (...)”.

Wiele czasu nie minęło. 7 listopada 1939 roku, po zmierzchu, do Parku Miejskiego w Kościanie niemieckie wspomniane komando specjalne Gerharda Flecha przywiozło dwoma ciężarówkami 45 obywateli powiatu kościańskiego zabrzanych z kościańskich więzień. Samochody przejechały przed stadionem, minęły mleczarnię, a za cmentarzem zakładowym skręciły w prawo, by zatrzymać się przy końcu ogrodzenia. Ta zbrodnia odbywała się bez publiczności – miała charakter skrytobójstwa. Więźniów wyprowadzano z pojazdu piątkami, zabijano ich z bliska strzałami z pistoletów, w świetle reflektorów samochodowych, w tak zwanym Nowym Lasku – piątka po piątce, a ciała przetrzucano przez dziurę w opłotowaniu do dużej mogiły zbiorowej, wykopanej na cmentarzu zakładowym tego samego dnia, tuż przy poprzedniej - z egzekucji z 2 października. W tym przypadku jest

charakterystyczne, że grób wykopywali sobie rano ci sami więźniowie, którzy zostali w nocy w nim pochowani.

W księdze „Z katakumb wspomnień” zawarto m.in. taki opis:

„Wypełnione więźniami i zbrojną eskortą samochody ruszają i szybko mkną przez miasto. Stają obok Parku Miejskiego, przy tym narożniku, gdzie jest mogiła pierwszych ofiar publicznej zbrodni na runku kościańskim. Jest już ciemno i tylko blask reflektorów samochodowych drąży w otaczającym mroku jasne smugi. Część eskorty wysiada, słycać rozkazy, wykonawcy meldują gotowość. Więźniów wysadzają z aut po pięciu. W ciszy jesienno-wieczoru, pomiędzy drzewami Parku głośnym echem rozbrzmiewają strzały pistoletów automatycznych. Ci, którzy jeszcze są w samochodach próbują śpiewać. Uderzenia kolbami. To im ust nie zamknie. „Jeszcze Polska nie zginęła!”. Wyprowadzono ostatnich. Znowu seria i cisza. Trzech więźniów pozostawionych podczas egzekucji za autami znosi do grobu ciała kolegów i zasypuje dół, mając do tego jedną łopatę. Muszą grzebać ziemię rękami. Dwóch z nich zginie w podobnej egzekucji pojutrze rano, jednego (Ignacego Richtera – dop. J.Z.) los zachowa na przekór niemieckim zamierzeniom niepozostawienia świadków tej zbrodni (...)”.

Pierwsze ekshumacje

Pierwszym powojennym władzom Kościana i Śmigła oddać należy honor za to, że

bez żadnej zwłoki, natychmiast po wyzwoleniu to jest po 27 stycznia 1945 roku, zaczęły urządowanie m.in. od gromadzenia dostępnej wtedy dokumentacji, dotyczącej zbrodni niemieckich, od poszukiwania mogił zbiorowych i indywidualnych, wreszcie od ekshumacji i identyfikacji ciał ofiar. Pod tym względem powiat kościański jako jeden z nielicznych w Wielkopolsce zrealizował swoje zadania dokładnie i starannie, bo zdołano wydobyć i rozpoznać szczątki zamordowanych rodaków z wszystkich grobów zbiorowych, godnie je pochować oraz upamiętnić. W Lesznie – w przypadku zbrodni w lasach rydzynskich - zadanie to podjęto w 1957 roku, a więc późno tak, że do dzisiaj nie udało się ustalić kompletnego wykazu zamordowanych tam ludzi i nikt nie może pewności czy zdołano ekshumować wszystkie leśne mogiły.

Powołano Komitet Ekshumacyjny w składzie: Ignacy Richter – rzemieślnik i pierwszy wiceburmistrz miasta; Stefan Bech – artysta plastyk i sekretarz Polskiej Partii Robotniczej oraz Bolesław Włodarczyk – drukarz i radny miejski. Na czele Honorowego Komitetu Ekshumacyjnego stanął starosta kościański mecenas Karol Fischbach, a w skład komitetu wchodził m.in. przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej – Antoni Borowski, przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej – Ignacy Minta, burmistrz Jan Witkowski, proboszcz kościański – ks. Bronisław Jasiewicz i proboszcz śmigieński – ks. Stanisław

Nowak. Szybko odnaleziono miejsca pogrzebania ofiar egzekucji publicznych i masowych zbrodni skrytobójczych.

Ekshumację rozpoczęto w środę 30 października 1945 roku. Dysponowano wtedy m.in. odtworzonymi przez polskich strażników listami Polaków wyprowadzonych i wywiezionych z niemieckich więzień w Kościanie. Szybko zlokalizowano mogiły zbiorowe na cmentarzu zakładowym, najpierw większą (po zbrodni w Parku Miejskim z 7 listopada 1939 roku), po chwili mniejszą (po egzekucji publicznej na Rynku z 2 października 1939 roku). W sprawozdaniu z ekshumacji zapisano m.in.:

„Mogiła kryjąca wszystkich rozstrzelanych jest bardzo duża. Przedstawia prostokąt o rozmiarach 15 metrów na 4 metry i jest położona przy samej siatce drucianej, oddzielającej cmentarz od parku. Z jednej strony mogiła sięga aż do narożnika ogrodzenia cmentarnego, z drugiej strony niemal przylega do grobu ośmiu rozstrzelanych na rynku kościańskim. Te dwie mogiły dzieli niespełna metrowe zagłębienie terenu, które stwierdzić można dopiero po dokładnym zbadaniu miejsca. Na pierwszy rzut oka całość jest doskonale zamaskowana wrzosem, który porasta zrównane z ziemią mogiły i przyległy teren cmentarny. Jak z tego widać, Niemcy chcieli ukryć przed światem dowody popełnionych morderstw i dość starannie zamaskowali mogiły, które jednakże odnaleziono na podstawie zeznań naocznych świadków łajdactw niemieckich”.

Do odkopywania mogił zatrudniono kościańskich folksdojczy. Praca – jak wynika z dokumentów – „była szybka i łatwa ze względu na piaszczystą glebę cmentarza”. Po odkryciu mniejszej mogiły okazało się, że ciała położone były równiutko, symetrycznie w dwóch warstwach po cztery zwłoki. Lekarz powiatowy dr med. Henryk Mandel stwierdził w mogile obecność żrącej substancji chemicznej. W protokole ekshumacyjnym odnotowano m.in.:

„Według opinii lekarza zwłoki musiały być polane jakimś płynem dezynfekcyjnym o właściwościach żrących, na przykład wapnem. Świadczy o tym stan zwłok oraz kompletne niemal zniszczenie ubrań, podczas gdy normalnie tkanina wełniana jest bardzo trwała i niepodatna na butwienie. Piaszczysta ziemia, przepuszczając doskonale wodę, ułatwiała przemywanie zwłok przez opady atmosferyczne, a razem z wodą uchodziły w głąb drobne cząstki produktów rozkładu. Znalezione szczątki krużyły się w rękę tak, że zwłoki pod kierunkiem lekarza wydobywano z grobu częściami, które potem składano na stole lekarskim w pobliżu mogiły”.

Rodziny - mimo takich trudności – zidentyfikowały wszystkie ciała. Pracowano do wieczora. Zapadał zmierzch. Następnego dnia rozkopywania nie kontynuowano ze względu na obchody Wszystkich Świętych, ale korzystając ze sprzyjającej

pogody ekipy ekshumacyjne powróciły na cmentarz zakładowy w piątek 2 listopada 1945 roku, rannikiem, w Zaduszki. Eksplorowano wtedy dużą mogiłę. Liczba znalezionych w niej ciał – to jest 45 - zgadzała się z wykazem wywiezionych z kościańskich więzień, ale w tym przypadku identyfikacja przebiegała trudniej. Po różnych szczegółach rozpoznano 40 ciał. I tak – na przykład – szczątki emerytowanego komisarza obwodowego z Kościana Mieczysława Wrybkowskiego rozpoznała jego żona Kazimiera po różańcu, uźębieniu i ubraaniu.

Wyniki ekshumacji dowiodły, że 7 listopada 1945 roku w Parku Miejskim do ofiar zbrodni strzelano z bliska, z pistoletów automatycznych; że niektórych kilkakrotnie dobijano strzałem w tył głowy; że wreszcie polscy więźniowie, którzy grzebali ciała wrócili powrotem do więzienia (przeżyć wojnę udało się tylko jednemu – Ignacemu Richterowi). Przy okazji skonfrontowanie zidentyfikowanych zwłok z dokumentacją więzienną pozwoliło zdemontować, krążącą do dzisiaj plotkę, że jednej z ofiar, ciężko ranionej, udało się zbiec z miejsca zbrodni. Komisja ekshumacyjna stwierdziła mianowicie:

„Nie dająca się dotąd sprawdzić pogłoska o rzekomej ucieczce w trakcie egzekucji jednego ze skazańców, okazała się zupełnie bezpodstawną, gdyż w mogile znaleziono dokładnie 45 zwłok, a więc tyle, ile wynikało z listy osób wywiezionych z więzienia”.

Badania doktora Henryka

Po wojnie na cmentarzu zakładowym nadal odbywały się pogrzeby pacjentek i pacjentów Wojewódzkiego Szpitala dla Psychiatrycznie i Nerwowo Chorych w Kościanie. Z oficjalnego, zachowanego rejestru wynika, że od 11 czerwca 1945 roku pochowano tu jeszcze 197 osób, a ostatni pochówek nastąpił w listopadzie 1964 roku.

W tym samym czasie wybitny regionalista dr med. Henryk Florkowski gromadził materiały, aby opisać zagładę 534 psychicznie chorych w Kościanie w ramach nazistowskiej akcji pseudoeutanzji; zbierał dokumenty i relacje. On to jako pierwszy opublikował informację o tym, że od 8 września 1939 roku do 14 stycznia 1940 roku, to jest zanim rozpoczęto wywózkę chorych do lasu Jarogniewice – Głuchowo, na skutek „specjalnego traktowania” [Sonderbehandlung] w Krajowym Zakładzie Psychiatrycznym wzrosła gwałtownie śmiertelność, bo – na zarządzenie władz niemieckich - gwałtownie zmniejszono racje żywnościowe i zaniechano podawania leków. Wiadomo, że ofiary Sonderbehandlung grzebano na cmentarzu zakładowym, ale nie udało się wtedy ustalić ich grobów.

Florkowski dowiedział także, że w styczniu 1940 roku w Kościanie przy obecnej ulicy Naobrzańskiej uruchomiono filię kaliskiego urzędu o nazwie Zentrale für Krankenverlegung. Instytucja ta pod nadzorem SS wysyłała do rodzin pacjentów świadectwa zgonów, podając w nich fałszywe przyczyny śmierci, a także – poza urzędem stanu cywilnego [Standesamt Kosten] prowadziła odrębne, sfałszowane w całości, księgi śmierci. Niewątpliwą zasługą tego badacza było ustalenie miejsca pokazowego rzędu grobów, które wyodrębniono na cmentarzu zakładowym i zadbano o nie po to, aby mogły je odwiedzać rodziny pacjentów, zamieszkałe w Starej Rzeszy [Altreich]. Warto dodać, że po zamknięciu cmentarza w 1964 roku doktor Florkowski proroczo stwierdził, że w krótkim czasie nastąpi jego dewastacja i profanacja. I tak też się stało. Od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku prasa systematycznie donosiła o aktach profa-



7 listopada 1945r. Pogrzeb ofiar zbrodni. Trumny ze szczątkami ciał składane są do krypt na Nowym Cmentarzu Katolickim. W tym miejscu w 1946r. stanie Mauzoleum.

Fot. Ciesielski

nacji grobów, o absolutnym braku troski o to miejsce wiecznego spoczynku, o kraździe nagrobków i dewastacji mogił.

Wstęp

do ekshumacji ostatecznej

Taka sytuacja stawiała Kościan w złym świetle. Konkretnie starania o rozwiązanie problemu cmentarza zakładowego podjął w 2004 roku burmistrz Jerzy Bartkowiak i trzeba przyznać z uznaniem, że był w tej kwestii konsekwentny. Przepisy stanowiły, że „użycie terenu cmentarnego po zamknięciu cmentarza na inny cel nie może nastąpić przed upływem 40 lat od dnia ostatniego pochowania zwłok na cmentarzu”. Po licznych analizach burmistrz spowodował, że 25 sierpnia 2004 roku Rada Miejska podjęła uchwałę o zamknięciu cmentarza zakładowego i dalszych starań nie zaniechał. Załatwianie formalności zajęło trochę czasu, ale ostatecznie 3 lutego 2006 roku Państwowy Powiatowy Inspektor Sanitarny w Kościanie lek. med. Łucja Pater – Chuda wyraziła zgodę „na dokonanie ekshumacji zwłok i szczątków

wano jeszcze w czasie zaboru pruskiego; że natrafiono na bliżej nierozpoznane bezimiennie mogiły i że właściwie niezbędne jest przekopanie całego terenu, więc kontynuowano ekshumację. Ostatecznie wydobyto 1 140 ciał i szczątki, których liczbę trudno określić. Dobrze się stało, że prace przerwano.

Wspólnie z redaktorami Bogdanem Ludowiczem i Jerzym Wizerkaniukiem śledziłyśmy przebieg tej ekshumacji. Bodziu był codziennie i tłumaczył mi, że teraz spełniamy wolę dra Florkowskiego. Zebrałyśmy bogatą dokumentację fotograficzną, a także dokonaliśmy wiele interesujących odkryć. O nich teraz w telegraficznym skrócie.

Co się udało ustalić

Cmentarz zakładowy składał się z czterech wyraźnie wyodrębnionych części. Od bramy wjazdowej do ogrodzenia przez Parkiem Miejskim wiodła droga cmentarna – alejka główna. Po prawej stronie tej alejki mieściła się tak zwana stara nekropolia, która dzieliła się na dwie części: bliżej bramy znajdowały się groby najstarsze (pochówki do 1934 roku), od krzyża w kierunku

roku przeprowadzali ekshumację. Na groby ofiar z okresu Sonderbehandlung (8 IX 1939 – 14 I 1940) natrafiono w pobliżu krzyża, natomiast udało się potwierdzić przypuszczenia dra Florkowskiego, co do umiejscowienia fikcyjnych grobów pokazowych przygotowanych dla rodzin niemieckich pacjentów, których specjalnymi transportami zwożono do Kościana z północnej części dawnych Prus. Otóż znajdowały się one po lewej stronie alejki, blisko bramy, ale były to tylko wzgórki, pod nimi ciał nie znaleźliśmy. Można dodać, że pewnym zaskoczeniem było dla nas odnalezienie kilku ciał pochowanych nago prosto w ziemi, bez trumien. Daty ich śmierci nie udało się ustalić, ale szczątki zabezpieczono. Dużo by teraz o tym pisać, ale jest to temat do odrębnego artykułu.

Wypada przyznać, że ekipa ekshumacyjna, także ówczesne władze miasta, wykazały w trzeciej już ekshumacji dużą staranność. Wszystko odbyło się godnie. Na cmentarzu komunalnym wykupiono miejsca, gdzie teraz w 7 odręb-



Kwiecień 2006r. Ostatnia ekshumacja. Miejsce po mogiłach zbrodni hitlerowskich.

Fot. Bogdan Ludowicz

ków ludzkich w związku z przeznaczeniem terenu byłego cmentarza sanatoryjnego na inny cel”.

Ekshumację etapami od 20 marca 2006 roku przeprowadzała firma Remondis Sanitech Poznań – oddział w Kościanie, która wygrała przetarg. Do 30 marca 2006 roku wydobyto 206 zwłok z najnowszej części cmentarza i wtedy okazało się, że w kalkulacjach nie wzięto pod uwagę faktu, że cmentarz zakładowy jest stary, pochówki na nim rejestrowane

parku jeszcze groby przedwojenne (do 1939 roku). Po lewej stronie alejki w bliższej bramie części nie odkryto żadnych mogił, natomiast w części bliżej parku znajdowało się 206 mogił z lat 1945 – 1964.

Ślady po mogiłach ekshumowanych ofiarach egzekucji z 2 października 1939 roku i skrytej zbrodni z 7 listopada 1939 roku były widoczne pod opłotowaniem od strony parku i w miejscu tym nie znaleźliśmy niczego, ani kawałka kości, ani jakiegokolwiek przedmiotu. To dobrze świadczy o tych, którzy w 1945

nych mogiłach, spoczywają szczątki z cmentarza zakładowego, a nad nimi piękny nagrobek, poświęcony przez ks. dziekana Czesława Bartoszewskiego; nagrobek, który świadczy o tym, że – mimo wszystko – Kościan ma swoją godność. I warto dodać, że dzieło rozpoczęte i w największej mierze zrealizowane przez burmistrza Jerzego Bartkowiaka, dokończył pomnikiem burmistrz Michał Jurga. Jest to mądry sukces obu panów.

JERZY ZIELONKA

Dzienniki Macieja Morawskiego (IV)

„Widywałem nieraz Miłosza”

przychylny stosunek do Miłosza. Jakiś nienawidzący poetę działacz PPS-u złośliwie zauważał: wiadomo, Miłosz jest herbu Lubicz, Morawscy szlachcie wiele wybaczą!

O wiele później, w latach 80. Miłosza spotykałem na 23/25 rue Surcouf u Księży Pallotynów. Bywał w biurze Editions du Dialogue. Długo rozmawiał o swych przekładach biblijnych (publikowanych przez Pallotynów) z księżmi Józefem Sazdikiem, Zenonem Modzelewskim, Florianem Kniotkiem oraz, rzecz jasna, z redaktorem Danutą Szumską, prawdziwym mistrzem w dziedzinie sztuki wydawniczej! Warto przypomnieć też, że Miłosz Danutę bardzo lubił, bywał na słynnych przyjęciach w jej mieszkaniu.

4 lipca

Pewien Francuz wrócił z Polski. Wyraża się ostrożnie. Jednak z jego słów wynika, że nieco go śmieszy rozmiar polskiej pasji przedwyborczych, skoncentrowanie się na bardzo polskich, lokalnych problemach, lansowanie z pasją różnych, nie udowodnionych hipotez dotyczących smoleńskiej katastrofy lotniczej. Odpowiedziałem temu Francuzowi, że wystarczy rzut oka na prasę francuską, by zobaczyć, jaki hałas tu się robi wokół, dość w gruncie rzeczy drugorzędnych, afer. Prawdą natomiast jest, że Francuzi zapewne lepiej od Polaków widzą czające się za rogiem zagrożenia... Rodacy, poza młodzieżą, jeszcze chyba nie bardzo dostrzegli zachodzące w świecie groźne procesy, przewidywalne skutki kryzysu, spadek znaczenia Europy.

Ostatnio rozmawiałem z polskim, już niemłodym, dość wysokiej klasy, krajowym inteligentem. Uderzyło mnie, że zaabsorbowany polskimi rozgrywkami wewnątrzpolitycznymi, nie dostrzega proble-



Redaktor Morawski z autorką opracowania.

Fot. Bogdan Ludowicz

mu świata i Europy, powiedziałbym, rozumie kategoriami XX wieku.

Wracając do mego francuskiego rozmówcy, ku mej radości stwierdził on, że Poznań odbija się rozsądkiem od innych miast Polski. Gdy idzie o mnie, to zawsze jestem pod wrażeniem rozsądku Wielkopolan, w tym np. Kościaniaków.

Wracając do mych spotkań, odnotuję jeszcze rozmowę z 87-letnim kombatantem, który ostatnio był w Polsce. Podkreśla, że rodzina i działacze różnych organizacji witali go entuzjastycznie. Narzeka jednak, że spotkał kilka osób krzywo patrzących na

emigrantów, mówiących - myśmy tu cierpieli, a wyście sobie dobrze żyli. Ów bardzo starszy pan mówi mi: „Cały czas we Francji ciężko pracowałem na ostatnim stanowisku w fabryce. Ci, co mi wypominają rzekome złote życie na emigracji, w PRL porobili doktoraty i habilitacje, zapewne rzeczywiście bywali prześladowani, ale to nie przeszkodziło im osiągnąć wysoki poziom naukowy.”

7 lipca

Zwycięstwo Komorowskiego odbija się pozytywnym echem



➤ w sferze mężów stanu krajów Unii. Komorowski ma ustaloną reputację „rozsądnego Europejczyka”. Paryski, katolicki dziennik „La Croix” już w tytule jednego z wczorajszych artykułów stwierdza: „Un libéral europhile a la rete de la Pologne”. Pismo zaznacza też, że gdy idzie o Jarosława Kaczyńskiego, to często zajmował on pozycje eurosceptyczne.

9 lipca

Lato w Paryżu. Wielu turystów i... wielu złodziei. W metrze dyrekcja nadaje ostrzeżenia w różnych językach: uwaga - działają „pickpocketi” czyli kieszonkowcy! Mimo to pewna liczba cudzoziemców pada ofiarą tych często niesamowicie zręcznych speców od niezauważalnych natychmiast kradzieży. Działają też inni „operatorzy”. W zeszłą niedzielę, gdy koło południa wracałem do domu, wsunął się za mną do sieni dość elegancki człowiek, i oświadczył mi: „Ma Pan na plecach marynarki jakieś plamy, ktoś czymś Pana oblał. Pomogę Panu to wyczyścić, proszę tylko dać ścierkę.” Już się pchał do mego mieszkania. Trzasnąłem mu drzwiami przed nosem. Rzuciłem okiem na tył marynarki. Były jakieś plamy. Tak jakby ktoś pstryknął na mnie kremem do golenia. Opowiedziałem wydarzenie konsjerżce. Odpowiedziała: „To znany proceder. On sam na Pana pstryknął. Chciał wejść do Pańskiego mieszkania, coś „capnąć”...”

11 lipca

Młody Francuz opowiadał mi, że 7 lipca w programie „Arte” tutejszej telewizji widział film, jak się zdaje produkcji niemieckiej pt. „Terminus Auschwitz”. Film mówi o transportach kolejowych Żydów z Holandii, Francji i Słowacji do obozów śmierci. Film bulwersujący i wzruszający. Używa się tam jednak określenia transport do Polski. Młody Francuz pytał mnie czy w Polsce, podobnie jak w Słowacji, był rząd kolaboracyjny. Odpowiadam mu, że w czasie wojny państwo polskie istniało tylko na wygnaniu, najpierw we Francji, później w Londynie rezydował rząd RP. Gdy idzie o kraj, część naszych terenów była w Rzeszy, a część stanowiła Generalne Gubernatorstwo. Ów młody człowiek pyta mnie: jak więc owe pociągi mogły jechać do Polski? Odpowiadam, że autorom filmu szło zapewne tylko o teren geograficzny naszego kraju. Mój roz-

mówca stwierdził: takie sformułowanie wywołuje konfuzję. Wyjaśniam, że naturalnie wówczas pociągi na pewno miały pisemne rozkazy, by jechać do Generalnego Gubernatorstwa lub takiego czy innego regionu Rzeszy. Przyznaję, że sformułowanie „transport do Polski” jest raczej niewłaściwe. Matka Francuza broni autorów filmu, jest zdania, że po prostu chodziło im o teren Polski.

Jednak przyznam, że cała ta sprawa jest dla mnie bolesna. Przecież niekiedy nawet mówiono o „polskich obozach koncentracyjnych”, gdy w rzeczywistości szło o obozy hitlerowskie.

12 lipca

Przed chwilą (dzięki wiadomości przesłanej mi z Warszawy przez Mariusza Kubika) dowiedziałem się, iż 11 lipca zmarł w Krakowie mój b. dyrektor, daleki kuzyn i przyjaciel Zygmunt Michałowski.

Urodził się 10 marca 1918 r. w Krakowie. W okresie od 1 stycznia 1945 r. do 5 lipca 1945 r. był attaché poselstwa RP w Brukseli. Później kierował działem „Międzynarodowe Organizacje Opieki nad Uchodźcami” w biurach Komitetu Wykonawczego Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego w Paryżu (1947-1949). Rzecz jasna, wówczas często go widywałem. Następnie Zygmunt wyemigrował do Australii. Wrócił w roku 1954. Objął stanowisko korespondenta RWE w Berlinie. Następnie Jan Nowak-Jeziorański przeniósł Zygmunta na korespondenta do Paryża. Był świetnym korespondentem: w okresie popaździernikowym przekazywał do Monachium wielkiej wagi informacje o ewolucji sytuacji w PRL-u. Wówczas z nim współpracowałem, dostarczałem mu raporty oparte na moich rozmowach z przyjezdnymi, z ludźmi takimi jak np. Jerzy Zawieyski czy poseł Makarczyk i jego syn Jerzy oraz wielu innych... Ale po krótkim czasie Dyrektor Nowak przeniósł Zygmunta do Monachium, gdzie w roku 1970 mianował go swym zastępcą. Po odejściu Nowaka Zygmunt został dyrektorem RWE. Był nim od roku 1976 do 1982. Przed laty Zygmunt Michałowski mi wspominał, że ma dość rewelacyjne archiwum. Nie wiem, gdzie złożył te akta?

16 lipca

Dziś byłem z Mariuszem Kubikiem w Krakowie na pogrzebie byłego dyrektora Radia Wolna Europa Zygmunta Michałowskiego. Mariusz Kubik w czasie pogrzebu odczytał tekst w imieniu Kancelarii Prezydenta RP – nadania Zygmunтови

Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Później doręczył odznaczenie synowi Zmarłego, Aleksandrowi. Wygłosiłem nad trumną Zygmunta krótkie przemówienie.

30 lipca

Z prawdziwą radością dowiedziałem się, że przepiękny park im. Kajetana Morawskiego w Kościanie jest obecnie „remontowany”. Gdy wspominam ten park, na myśl mi przychodzi nasz dom spokojnej starości w Lailly-en-Val, 30 km od Orleanu. Ów dom, sanktuarium polskiej walczącej emigracji politycznej, obecnie ma charakter polsko-francusko-europejski, a to dzięki zabiegom byłego europoła Marcina Libickiego. Dom ten (dużo materiałów o nim można znaleźć w Internecie) jest więc teraz pod protektoratem Parlamentu Europejskiego. Ma stać się modelowym ośrodkiem europejskim opieki nad seniorami. Ponieważ czołowym współzałożycielem Domu był Wielkopoleńczyk i francuski emigrant Kajetan Morawski, liczę, że obecni posłowie do Parlamentu Europejskiego z naszego województwa, Domem się zainteresują. Podkreślę, że przewodniczący Jerzy Buzek w specjalnym piśmie wyraził dla tego Domu swe pełne poparcie. Tak więc ośrodek ten staje się teraz żywym przykładem polskiej i francuskiej pomysłowości i naszej wspólnej woli współdziałania z Komisją Unii. Dom nasz współpracuje już ściśle ze słynnym Domem Helclów w Krakowie. Apeluję więc do mego przyjaciela, posła Bogusława Sonika, by w Brukseli ten nasz ośrodek propagował, popierał zacieśnienie jego współpracy z Komisją Europejską, czynił to wspólnie z naszą znakomitą Ambasadą przy Unii.

Wiedzieć trzeba, że waga problemu seniorów potęguje się z roku na rok. Wystarczy rzucić okiem na przewidywania demografów, by zrozumieć ogrom zagadnienia. Ciekawe czy nasi parlamentarzyści zdają sobie z tego sprawę. Cały problem łączy się też z zagadnieniem wieku emerytalnego. Warto by wiedzieć, kiedy stanie się on pałacem np. w Wielkopolsce i francuskim regionie Centre? Jedno pewne, liczba seniorów w stosunku do osób pracujących, niesamowicie szybko wzrasta. A przecież dobry polityk winien dostrzegać zagrożenia przyszłości.

Opr. TERESA MASŁOWSKA



Autor wspomnień (z prawej) w czasie odslaniania tablicy Mariana Koszewskiego - patrona szkoły podstawowej i gimnazjum.
Fot. Bogdan Ludowicz

Wspomnienia kościańskiego nauczyciela (2)

Od Świerczewskiego do Koszewskiego

„Normalnym” nauczycielem byłem dosyć krótko, bo do 1984 roku, z roczną przerwą w 1979 (zima stulecia) na służbę wojskową. W 1984 roku, po zmianach organizacyjnych, dyrektor szkoły – pani Maria Kopeć zaproponowała mi funkcję wicedyrektora. Od tego momentu sporo się zmieniło: uczyłem już tylko w dwóch klasach (szkoda), wykonywałem za to sporo czynności administracyjnych, m. in. organizowałem zastępstwa za nieobecnych nauczycieli i przygotowywałem plany lekcji. To ostatnie zajęcie było sporym wyzwaniem, zważywszy na trudne warunki pracy szkoły: wysoki współczynnik zmianowości, a także dowożenie uczniów. Było też tak, że obowiązywały równoległe dwa plany: na tydzień z „wolną” sobotą i sześciodniowy. Po kolejnych kilku latach (1987) i kolejnych zmianach organizacyjnych przestaliśmy być szkołą „gminną” a staliśmy się szkołą miejską. Z dniem 1 stycznia 1991 roku zostałem dyrektorem Szkoły Podstawowej nr 4 w Kościanie. W roku 1999 w wyniku reformy systemu oświaty wprowadzonej przez rząd Jerzego Buzka w miejsce ośmioklasowej Szkoły Podstawowej nr 4 powstał

Zespół Szkół (najpierw z numerem 1, po kilku latach nastąpił powrót do numeru 4), w skład którego wchodzi sześcioklasowa Szkoła Podstawowa nr 4 oraz trzyletnie Gimnazjum nr 4.

Z plecakiem

Od początku lat 80. zaangażowałem się w organizowanie różnych form zajęć turystycznych przeznaczonych dla uczniów. Były to jedno i dwudniowe rajdy po najbliższej okolicy Kościana, ale i po terenie Sudetów, kilkudniowe wycieczki i dwutygodniowe obozy wędrownie prowadzone na trasach typowych Polskiego Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych. Obozy były niewątpliwie najciekawszą formą i prawdziwą szkołą życia dla uczestników.

Często było ciężko, w przenośni i dosłownie, bo cały „dobytek” – ubranie, przybory i zapasy żywności trzeba było nosić w plecaku na własnych barkach, a dzienny wymiar wędrówki przekraczał 20 kilometrów. Nocowaliśmy w schroniskach młodzieżowych, stałych i sezonowych, o bardzo różnym standardzie. Często spało się całą grupą w adaptowanych na sypialnie klasach szkolnych, a rolę umywalni czasem pełnił płynący w pobliżu potok. Jedzenie, zwłaszcza w kryzyso-

wych latach osiemdziesiątych, też nie było zbyt wyszukane. Za to w różnych miejscach można było zaopatrzyć się w deficytowe towary, takie jak wata, żarówki itp., które potem z dumą można było zawieźć do domu rodzinnego. Wydaje mi się, że gdybyśmy dzisiaj wywieźli bez uprzedzenia grupę uczniów na taki obóz, to po paru dniach zostaliby na nim sami prowadzący.

Przez kilkanaście lat przemierzaliśmy w ten sposób wszystkie pasma górskie w naszym kraju. Obozy cieszyły się dużą popularnością wśród uczniów. Czasem ci, którzy zaczęli jako czwartoklasiści jeździli jeszcze jako uczniowie szkół ponadpodstawowych. Nawet teraz, już jako dorośli ludzie, z sympatią wspominają te wyjazdy. Tradycja udziału w imprezach turystycznych przetrwała do dzisiaj – praktycznie wszystkie klasy organizują pod koniec roku wycieczki autokarowe, a udział uczniów w rajdach organizowanych przez kościański oddział PTTK jest naprawdę masowy. Trochę szkoda, że nie ma już obozów wędrownych, ale jak mawiają nasi sąsiedzi z południa: „to se uż ne vrati”.

Szkoła się zmienia



► Jak zmieniała się szkoła przez lata? Budynek to projekt klasycznej tysiąclatki: trzykondygnacyjny, podpiwniczony blok i połączona z nim łącznikiem sala gimnastyczna o wymiarach 18 na 9 m. Łącznik został w latach osiemdziesiątych rozbudowany, urządziliśmy w nim szatnię dla uczniów. Wtedy też powstała salka do ćwiczeń rehabilitacyjnych. W 1998 r. do użytku oddano halę sportową z areną o wymiarach 45 na 30 m wyposażoną w cztery szatnie, dwie łazienki i część hotelową z 18 miejscami noclegowymi. Od tego momentu w naszej hali odbywa się wiele imprez sportowych. Tu trenują i grają szczypiorniści „Tęczy”, toczy się liga futsalu, organizowane są turnieje karate, rozmaite wystawy, np. kotów rasowych, a wieczorami hala służy mieszkańcom Kościana do zajęć sportowo-rekreacyjnych.

Powstanie hali spowodowało konieczność przebudowy placu rekreacyjnego i boisk sportowych. Przestał istnieć ogródek geograficzny. Ponieważ do szkoły wróciły oddziały „0”, powstaje także plac zabaw. Uczniowie korzystają też z boiska „Orlik”, co prawda nie szkolnego, ale znajdującego się niedaleko na Osiedlu Konstytucji 3 Maja.

Przez lata zmieniała się także nazwa, podległość organizacyjna i struktura szkoły. 1 września 1960 roku powstała jako Szkoła Podstawowa nr 4 w Kościanie. Od 1 września 1973 roku utworzono Zbiorczą Szkołę Gminną w Kościanie, której rok później nadano imię Karola Świerczewskiego, nosiła je do 1990 roku. Od 1 września 1987 roku szkoła przestała być zbiorczą, a jej zwierzchnikiem został Inspektor Oświaty i Wychowania Urzędu Miejskiego w Kościanie. 1 września 1999 roku powstał Zespół Szkół nr 1 w Kościanie, w skład którego wchodziła Szkoła Podstawowa nr 4 i Gimnazjum nr 1. Numerację „wyprostowano” od 1 września 2003 do dzisiaj mamy Zespół Szkół nr 4, w skład którego wchodzi: Szkoła Podstawowa nr 4 i Gimnazjum nr 4.

Reforma systemu oświatowego z 1999 r. zakładała utworzenie oddzielnych podstawówek i gimnazjów. W Kościanie powstały zespoły szkół, co przez władze oświatowe przyjmowane było niezbyt dobrze. Z perspektywy 10 lat widać jednak, że nie było to złe rozwiązanie. Dzięki niemu nie ma w naszym

mieście gimnazjum – molocha z tysiącem uczniów. Kontynuacja przez ucznia nauki po szkole podstawowej w gimnazjum należącym do tego samego zespołu szkół powoduje, że wszystkie strony procesu dydaktycznego: uczniowie, rodzice i nauczyciele dobrze się znają.

Nasi uczniowie

W czasach Zbiorczej Szkoły Gminnej szkoła gromadziła w swoich murach uczniów z różnych środowisk: rejonu miejskiego oraz wiosek, które także miały różny charakter: od połączonych z miastem Czarkowa i przynajmniej częściowo Kurzej Góry do położonych w pewnym oddaleniu Szczodrowa, Kokorzyna czy Niegłowa. Z upływem czasu liczba dzieci pochodzących z wiosek malała z powodu zmian organizacyjnych, o których już mówiłem, a także postępującego niżu demograficznego.

W latach największego „zagęszczenia” szkoły uczyło się u nas dobrze ponad tysiąc uczniów (w ośmiu rocznikach), dzisiaj w dziewięciu rocznikach jest ich niespełna siedmiuset. Z tej liczby ok. 1/3 wyróżnia się bardzo dobrymi wynikami w nauce i zachowaniu. Wielu z powodzeniem startuje w rozmaitych konkursach i zawodach sportowych. Szkoła może się pochwalić grupą 52 laureatów wojewódzkich konkursów przedmiotowych. W zajęciach ponad 40 kół zainteresowań udział bierze więcej niż 700 uczniów (niektórzy w kilku kołach).

Szkoła aktywnie uczestniczy w akcjach charytatywnych, w ramach Wielkiej Loterii Fantowej zebraliśmy 140 tysięcy złotych na rzecz dzieci chorych i dzieci z domów dziecka, na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy przekazaliśmy ponad 20 tysięcy złotych. Szkoła została wpisana na listę 100 najhojniejszych instytucji w kraju, obok takich firm jak telewizja Polsat i KGHM. Wspieraliśmy też dzieci z innych państw – ofiary kataklizmów i innych tragedii (Indie – adopcja na odległość, Białan, Irak, Afganistan). Od prawie 30 lat pomagamy dzieciom z Zakładu dla Ociemniałych w Laskach.

Jesteśmy organizatorami corocznych konkursów: o tytuł Mistrza Ortografii Szkół Podstawowych Miasta i Gminy, Powiatowego Konkursu Mitologicznego i Powiatowego Konkursu Gwary Wielkopolskiej pod patronatem radia Merkury. Przeprowadzamy także wiele zawodów sportowych i turniejów rekreacyjnych dla szkół, przedszkoli i innych środowisk. Przygotowujemy okolicznościowe pro-

gramy artystyczne dla emerytowanych pracowników oświaty, Kościańskiego Stowarzyszenia Chorych na Stwardnienie Rozsiane i Udar Mózgu, Polskiego Związku Niewidomych.

Dominacja pań

Dzisiaj w szkole pracuje 55 nauczycieli. Zawód jest jednak sfeminizowany: 45 to kobiety, a tylko 10 mężczyźni. I tak właściwie jest „od zawsze”. Największa grupa nauczycieli – 27, urodziła się w latach 60 ubiegłego wieku a pracę w szkole podjęła w połowie lat 80. Wtedy to doszło do dużych zmian kadrowych. Część starszych nauczycieli, korzystając z zapisu Karty Nauczyciela przeszła na emeryturę po przepracowaniu w szkole 30 lat. Spora grupa przeniosła się do uruchomionej w roku 1985 nowej kościańskiej szkoły – obecnej „trójki”, wtedy nr 6. Na ich miejsce przyjęto do naszej szkoły tę najliczniejszą obecnie grupę. Nauczycieli urodzonych w latach 70 mamy obecnie 16, a najmłodszych z lat 80 tylko 3. Grono uzupełnia 9-osobowa grupa „weteranów” z lat 50, do których i ja się zaliczam.

Podobnie wygląda sytuacja jeśli spojrzymy na staż pracy w szkole. Staż poniżej 10 lat ma 8 nauczycieli, pomiędzy 10 i 20 lat – 19, najwięcej jest z przedziału od 20 do 30 lat bo 24 a powyżej 30 – 4. Jeśli chodzi o stopnie awansu zawodowego to 32 osoby to nauczyciele dyplomowani, 19 – mianowani a 4 kontraktowi. Kadra pedagogiczna jest stabilna – w ostatnich latach zmiany w jej składzie były bardzo niewielkie. Warto zauważyć, że 18 członków rady pedagogicznej to absolwenci naszej szkoły. Jest wśród nich kilkoro, z którymi miałem przyjemność pracować jako uczniami. Wielu nauczycieli ukończyło studia podyplomowe – mają kwalifikacje do nauczania kilku przedmiotów.

*

50 lat to dużo w życiu człowieka. W przypadku szkoły może trochę mniej, ale też sporo. Przez pół wieku zmienili się nauczyciele, uczniowie, szkoła z jej wyposażeniem, rodzaje zajęć, sposoby i formy ich prowadzenia. Nie zmienił się cel: wychowanie młodego człowieka, przygotowanie do dalszego życia oraz wyposażenie w zasób wiedzy, który pozwoli mu kontynuować naukę w szkole, jaką sobie wymarzył.

LESZEK MICHALCZAK

W oparach drukarskiej farby (2)

Wybitny artysta plastyk, fotograf i rysownik Józef Skoracki urodził się 1 stycznia 1920 r. w Lesznie, zmarł zaś 6 stycznia 2005 r. w Poznaniu, urnę z jego prochami pochowano na cmentarzu górczyńskim. Pozostawił po sobie wiele zdjęć i grafik, a także rękopis wspomnień, który zdeponował w archiwum prywatnym red. Jerzego Zielonki. Tekst ten stanowi fragmenty kościańskich wspomnień tego cenionego artysty.

Fotoreporter na rowerze

Od stycznia 1943 roku w „Graphische Werkstätten” zaczęto drukować dla frontowych żołnierzy niemieckich gazetkę p.t. „Kostener Heimatblätter”, co można by dowolnie przetłumaczyć na „Kościańskie Kartki Ojczyzniane”. Dla tego wydawnictwa wykonałem wszystkie okładki w formie rysunków piórkowych, a moje najciekawsze fotosy z miasta i powiatu w nim zreproduковано. Czasami jednak musiałem wykonać specjalne fotografie, jak na przykład małą myszkę złapaną w pułapce do wierszyka pana Schirmera. Późnym latem 1943 roku, jako że dla grafika nie było w zakładzie żadnej konkretnej roboty, musiałem podjąć w nim nową specjalizację jako sui generis fotograf-reporter. Pan Schirmer zlecił mi bowiem sporządzenie dokumentacji fotograficznej możliwie całego powiatu kościańskiego, nie dając mi jednak żadnych wskazówek. Oferował mi tylko swój nowy rower turystyczny, którego sam chyba nigdy chyba ze względu na swą tuszę nie użył, mówiąc, niech pan sam sobie wybierze kolejność trasy i niech panu pogoda służy.

Zakupiłem więc filmy, których nazw i czułości dziś już nie pamiętam i nowe o różnej gęstości żółte filtry. Przygotowałem mój aparat „Vito”, światłomierz selenowy, z którego byłem wówczas niezmiernie dumny i prosty, składany „kieszonkowy” statyw. Otrzymałem do rąk pismo upoważniające mnie do fotografowania wszystkiego, co nie jest obiektem wojskowym lub zakazanym. Zdobyłem precyzyjny plan powiatu i zacząłem po nim krążyć, kiedy było blisko zajeżdżałem i wracałem rowerem. Kiedy trasa była dalsza nadawałem rower na bagaż do wagonu.

Ja tych okolic przecież zupełnie

nie znałem, więc je odkrywałem i poznawałem, znajdowałem urocze fragmenty pejzażu, stareńkie i dobrze zachowane wiejskie chaty obok skromnych dworców i pałacyków, wzruszające grupki wieśniaków. Była to największa i najpoważniejsza moja praca w Kościanie, ale także radosna, szczęśliwa. Przez tyle dni nikt mnie

zycji, będący na terenie introligatorni, nie użytkowany magazyn, do którego się po siedmiu stopniach schodziło, a więc taką półpiwnicę bez okien. Stały w niej tylko z jednej strony solidne i wysokie regały.

Pojechałem do Leszna do sklepu pana Chojnackiego, w którym



Restauracja w Parku Miejskim w Kościanie w 1943 roku. Fot. Józef Skoracki

nigdy ani nie zaczęli, ani nie kontrolowali i nie mogę sobie przypomnieć choćby jednego dnia deszczu.

Moja pracownia

Skoro więc mam obfotografować cały kościański powiat, to trzeba mi gdzieś zrobić pracownię. Przecież nie będę własnych filmów oddawał do obróbki innym osobom. Szef oddał mi do mojej dyspo-

radził teraz Niemiec o nazwisku Croy i znów kupiłem tam lepszy obiektyw oraz znacznie większy kondensator, a naprzeciw u Przyuszały miałem szczęście nabyć zębatą dwumetrową szynę z regulowaną prowadnicą. Wszystko zawiozłem do Kościana i oddałem do rąk naszej zakładowej złotej rączki, pana Jana Ku-





Ostatni numer „Kostener Heimatblätter”.

W zbiorach Jerzego Zielonki

biaka. Ten na podstawie mojego szkicu zmontował znakomicie pracujący powiększalnik. Tę zębatą szynę przykręcił do boku regału, do prowadnicy umocował powiększalnik i już byłem zupełnie niezależny. Powiększalnik, obiektyw oraz pod nim stół można było dowolnie przechylać, co likwidowało pionowe krzywizny perspektywiczne. Już nie pamiętam gdzie nabyłem trzy dość duże wysokie porcelanowe tanki, w których zwieszałem po trzy stalowe ramy, na których zawieszałem do wywołania, utrwalenia i płukania filmy.

Szef przydzielił mi młodziutką i miłą asystentkę, pannę Bogusię (o ile sobie dobrze przypominam jej imię) Kęsicką, którą szybko do zawodu przyuczyłem. Jednak wszystkie wykonane w terenie i udane zdjęcia z ogromną satysfakcją oświadczyłem, kadrując w razie konieczności negatywy na format 12x18 cm. Na końcu wklejałem je do dwóch dużych albumów i podpisywałem...

W Poznaniu i Lesznie

Kilka razy jeździłem do firmy Thomas w Poznaniu po konieczne zakupy, zawsze zaopatrzone przez

szefa w atrakcyjną paczkę żywnościową dla pańienek ekspedientek. Teraz jednak zawsze tam nocowałem, bo spotkałem przedwojennego kolegę ze studiów plastycznych Bartka Kurkę. Ten mój przyjaciel ucieszony tym wydarzeniem, zaprosił mnie do swojego mieszkania. A było ono niezwykle emocjonujące, bo mieściło się w byłym adaptowanym na nie sklepie na Garbarach, od strony rynku. Z przeprowadzką też nie mieli kłopotu, bo przed wojną zajmowali piękne mieszkanie w tym samym domu ponad sklepem. Poznałem przy tej okazji jego gościnną mamę, eleganckiego ojca bławatnika oraz dwóch, starszego i młodszego braci. Nagadaliśmy się co niemiara o przedwojennej szkole i pogłębili przyjaźń.

W każdą sobotę jeździłem do domu, a do pracy do Kościana wracałem w niedzielę wieczorem. Podczas spokojnych niedzielnych dni bardzo często siadałem do malowania akwarelami martwych natur. Portrety matki i ojca narysowałem węglem, Krysi - sangwiną według starej wspólnej fotografii, poza tym kopiowałem starannie ołówkiem znane powszechnie obrazy dawnych mistrzów. Farbami olejnymi, których nigdy nie potrafi-

łem polubić namalowałem dwa autoportrety, raczej udane kopie główek dziecięcych Rubensa oraz kilka ciekawszych fragmentów z Kaplicy Sykstyńskiej Michelangelo Buonarrotiego i innych. Wiele tych prac rozdawałem krewnym i znajomym solenizantom, kilka pozostało w moich zbiorach. A robiłem te wszystkie prace w naszej jadalni oraz na balkonie, ale najczęściej, w kompletnym odosobnieniu w pustym pokoiku na strychu. Czulem nieustanną potrzebę praktykowania pracy artystycznej i jej doskonalenia - nie mogłem przecież utracić nabytych w czasie dwuletnich poznańskich studiów umiejętności.

Szwindel z kartkami

Chyba w połowie ostatniego roku wojennego kościański zakład rozpoczął drukowanie kart żywnościowych. Była zupełna kołomyjka z rozliczaniem każdego przydzielonego nam arkusika kolorowego papieru, ale wtedy wszelka kontrola w rozwalającym się Reichu, a szczególnie w drukarni, w której zatrudnieni byli wyłącznie Polacy, była już zupełną fikcją. Jedyna starszka Niemka, przywieziona spod Rygi, nikomu nie przeszkadzała. Więc pracownik, który kierował dużą płaską maszyną, drukującą te kartki, hojnie je wśród koleżanek i kolegów rozdawał. Sam chodziłem po te dodatkowe przydziały do sklepu rzeźnickiego i zawsze określony gatunek mięsa czy wędliny, do ostatniego dnia wojny był w nim dostępny. Sprawdzało się tu do joty niemieckie powiedzenie „Ordnung muss sein”. Zacząłem więc spożywać bez żadnych ograniczeń artykuły tak nam dotąd skąpione, i dobrze że wojna się wkrótce zakończyła, bo gdyby się ta sprawa „ryła” to dla wielu zakończyłaby się bezlitośnie sromotnie.

Chyba w związku z rozpoczęciem druku tych kart żywnościowych przydzielono firmie karykaturę samochodziku dostawczego, bo trudno go nazwać ciężarowym. Nosił nazwę fabryczną „Standard”. Miał maleńką, obudowaną z trzech stron skrzynię ładunkową, zamkniętą stanowisko kierowcy, z tyłu dwa koła, a z przodu tylko jedno. Na tylnej, opuszczanej klapie był duży napis „Druckerei”, a na bocznych, stałych maleńkie

„Kaländer”. Nosił numer rejestracyjny P26006. Jeździł tym ciemnozielonym samochodem nasz mechanik-ślusarz pan Jan Kubiak.

Jak straciłem kapelusza

Wsiadam którejś soboty po południu do już odjeżdżającego leszczyńskiego pociągu i wpadam w grupkę niemieckich żołnierzy jadących ze wschodniego frontu na urlop do Vaterlandu. Byli zapewne po kilku sznapsach bo im się gęby nie zamykały. Szwargotali głośno i bezustannie, a ja słucham i słucham i niczego nie rozumiem. A przecież znam dobrze ich język, a z ich paplaniny chwytam

tylko pojedyncze słowa. Pojąłem wówczas, że jeśli spotkają się Niemcy z dwóch krańcowych okręgów gwarowych, to się wzajemnie nie rozumieją.

Wsiadam znów którejś soboty do pociągu, by spędzić niedzielę w domu. Zdejmuję moje nowe Borsalino, mięciuteńkie, o wyszukanym ciepłopopielatym odcieniu i odkładam uważnie na półce. Jedynym moim towarzyszem podróży jest dość młoda jeszcze dziewczyna – kobieta. Siedzi naprzeciw mnie zaczytana w książce. Z miejsca mnie zupełnie zauroczyła, nie mogłem oderwać oczu od jej wło-

sów, a właściwie od ich niecodziennego, jedyne w swoim rodzaju zabarwienia. Nie potrafię dobrać właściwych słów, jakaś mieszanina popielatości, srebra, siwizny, kości słoniowej, lnu, płowości, platyny. Zadbane, spadały długimi prostymi kosmykami spod jej kapelusika. Drugich takich olśniewających włosów już nigdy później nie ujrzałem. W Lesznie półprzutomny i trochę oszołomiony wysiadłem, a mój ulubiony kapelusik... odjechał do Wrocławia lub jeszcze dalej. (cdn)

JÓZEF SKORACKI



Horst Wesselplatz w Kościanie w 1944 roku.

Fot. Józef Skoracki

Mandolina ze strażnicy

Wielkopolski rezerwista, żołnierz leszczyńskiego 55 pułku piechoty, Franciszek Grzesiński, rodem z Wieszkowa pod Krzywiniem, dziś już nieżyjący, brał udział w ataku na niemiecką strażnicę graniczną koło Wschowy tuż po wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku. Meloman, po zajęciu wartowni, zdjął ze ściany mandolinę i nie bacząc na jej symbole niemieckiej inwentaryzacji wojskowej, zaczął polskimi rękami wypowiadać radość rozpierającą serca naszych żołnierzy. Kiedy nastąpił rozkaz wycofania się ze strażnicy, Grzesiński zostawił mandolinę w obejściu wartowni. W dalszych działaniach frontowych wzięty do niewoli i umieszczony potem w obozie jenieckim blisko Berlina, Grzesiński nie mógł oczywiście już pamiętać o swej krótko trwającej mandolinowej idylli.

Aliści w dwa lata potem, bo już w czasie zniszczeń 1941 roku, jego brata Tomasza Grzesińskiego – również uczestnika kampanii wrześniowej – odszukują na polu konni żandarmerii z krzywińskiego posterunku i każą zaprowadzić się do jego domu. Po uważnym i szczegółowym przepenetrowaniu izb, zniemacka indagująca gospodarka, czy umie grać na mandolinie. Ten, w przeciwieństwie do brata nie parający się wcale muzyką, zaszokowany takim niewojennym i nieokupacyjnym pytaniem, szczerze się roześmiał. Ukłuło to stróżów nowego porządku Europy, zabrali więc Bogu ducha winnego człowieka do aresztu, pędząc go tam przez 5 kilometrów uwiązanego na lince między kłusującymi końmi. Nie pytany już więcej o mandolinę, Tomasz Grzesiński gafę żandarmską musiał odpokutować kilkudniowym pobytom w areszcie, urozmaicanym pucowaniem butów i chędożeniem żandarmskich koni.

Podziwiać trzeba ujawniający się tu lwi pazur pruskiej pedanterii i pruskiego porządku, graniczących już z mentalnością. Bo przecież cała Europa pławiła się już wówczas w krwi ludzkiej, zasnuta dymami pogorzeliści miast i wsi, a mimo to sprawa jednego marnego kruchego pudełka mandolinowego toczyła się nieubłaganie dalej. Niemiecka machina sprawiedliwości odszukuje nareszcie właściwego sprawcę muzykowania na niemieckiej mandolinie, które to we wrześniu 1939 roku choć krótko rozbrzmiewając ku chwale polskiego oręża w co dopiero zajętej niemieckiej strażnicy, nie mogło być w żadnym wypadku wdzięczne dla uszu niemieckich.

Mandolina kosztowała Franciszka Grzesińskiego rok katorgi. Umyslnie umieszczono Grzesińskiego w celi, z której prawie co noc dwóch zazwyczaj pijanych oprawców wywłóczyło więźniów skazanych na stracenie. Ostatnie tygodnie przeżył na folwarku więziennym pod Poznaniem, maltretowany i głodzony. Z siwą już głową i pomarszczoną twarzą wrócił Franciszek Grzesiński do rodzinnego Wieszkowa. Meldując

przebył na folwarku więziennym pod Poznaniem - maltretowany i głodzony.

Z siwą już głową i pomarszczoną twarzą wrócił Franciszek Grzesiński do rodzinnego Wieszkowa. Meldując się w krzywińskim posterunku żandarmerii, podaniem przyczyny uwięzienia („za mandolinę”) wywołał bezwiedny uśmiech na obliczu komisarza, zaraz potem stłumiony surowym wyrazem urzędniczych oczu. Szczerze ludzki był odruchowy uśmiech Niemca, dowiadującego się, że gra na mandolinie może polskiego człowieka zaprowadzić do więzienia. Ale nieludzki był reżim hitlerowski,

któremu, jak przystało Niemcowi, komisarz ślepa zaprzysiągł służbę. Jako oddany sługa Hitlera, urzędnik musiał przyznać, że tego zuchwałego Polaczka istotnie spotkała zasłużona kara. Kara za to, że na niemieckiej mandolinie śmiał przygrywać swoim frontowym towarzyszom w dopiero co zdobytej niemieckiej strażnicy granicznej. Rzecz niesłychana – w niemieckiej strażnicy, z której przed polskim bagnetem haniebnie uciekli żołnierze ge-

niałnego wodza, na którego rozkaz szykowali się do krwawego wtargnięcia na polskie ziemie.

Franciszek Grzesiński pochowany jest w Mórkwie blisko Leszna. Zbawidowi leszczyńskiemu wypadał odnotować tę wiadomość i razem z nią w kronice swej umieścić fotografię skromnego nagrobka kryjącego szczątki jednego z tysięcy wieśniaków wielkopolskich, którzy ojczystą ziemię rzetelnie uprawiali pługiem, radośnie wielbili piosenką a w potrzebie odważnie bronili bagnetem.

JAN SAMEL CZAK

*)Tekst jest fragmentem rękopisu okupacyjnych opowieści, napisanych przez nieżyjącego już kierownika Szkoły Podstawowej w Wieszkowie..

Krzysztof Żegocki

czyli

Oswobodzenie Kościana (3)

Gertych nie lubił Jakubowskiego. Czuł on instynktowny wstręt, prawie nienawiść przewrotnego i brudnego charakteru do wzniosłej i szlachetnej duszy; podziwiać jednakże musiał i szanować dobre przymioty młodego kupca, przynajmniej te, które on za zalety uważał, jako to wielką energię i tę rzadką w młodym wieku w ogóle, a w szczególności u Polaków, obrotność i spryt kupiecki. Nie sprzeciwiał się miłości swej córki do Jakubowskiego, który tak ze względu majątkowego, jako i dla znaczenia w mieście, dawniej przed najazdem Szwedów, bardzo był odpowiednim konkurentem w oczach ojca. Teraz stosunki z wielu przyczyn się zmieniły i udawana przyjaźń Gertycha do młodego kupca znacznie ostygła. Zdradzieckiemu burmistrzowi chodziło teraz o to, jakby się w najlepszy i najprędszy sposób pozbyć wstrętnego mu już przyszłego zięcia. Co do ręki Anny, miał on dzisiaj zupełnie inne zamiary. - Lecz o tem później.

Jakubowski nie zastał Gertycha u siebie; był on w jakimś interesie u komendanta miasta. Za to przywitała go wymówkami piękna córka za tak długą nieobecność w ich domu.

- Przecież raz wreszcie zjawiasz się u nas, Szymonie, mówiła, a ja już myślałam, że cię jakie nieszczęście spotkało, albo, choć tę myśl odpychałam od siebie, żeś już zapomniał o kochającej cię nad życie Annie.

- Nie stało mi się dotychczas nic złego, mój aniele, a tem mniej oziębła moja miłość ku tobie, która chyba z śmiercią ostygnąć zdolna; ale powstrzymywały mnie od odwiedzenia was ważne obowiązki.

- Obowiązki i znów obowiązki, westchnęła Anna, jakież obowiązki prócz naszej miłości obchodzić nas mogą Szymonie?

- Mylne jest twoje zdanie, droga Anno, są jeszcze inne, trudniejsze wprawdzie, lecz świętsze obowiązki,

które każdy człowiek prawy wypełniać powinien. Nie samą radością, nie same mi kwiatami zasłana ziemska nasza droga., nie same rozkosze spotykamy na niej., lecz także cierpienie i głogi. Te najpierw wyciąć i zniszczyć potrzeba, zanim użycie zasłużonego szczęścia tu na ziemi dozwolone człowiekowi będzie. Bo życie to nasze krwawą jest walką z przeciwnościami. W walce tej nie upaść, jest wielką zasługą – w niej zwyciężyć, najszczytniejszem zadaniem... I mnie teraz czeka taka walka sroga. Najprzód zwyciężyć mi trzeba nieprzyjaciela, a potem cieszyć się zasłużonym szczęściem na twem łonie, Anno.

- Ja ciebie nie rozumiem, mój ukochany; pierwszy raz dzisiaj w ten sposób do mnie przemawiasz.

- Ha! bo dotychczas nie wymagała tego potrzeba. Żyliśmy spokojnie i swobodnie, mogliśmy o szczęściu tylko naszym marzyć, bo to żadną nie było zagrożone burzą.

- A cóżby teraz szczęściu naszemu zagrażało mogło?

- I ty się jeszcze pytać możesz, Anno? Czyż nie doszły dotychczas do ciebie jęki braci naszych, okrutnie gnębionych przez groźnego wroga? Srogi gnębiel wydarł nam naszą ojczyznę i szarpie ją szponami nielitościwie; wydarł nam miasto rodzinne; obywateli wiernych ojczyźnie więzi i morduje, a teraz nawet świętokradzką dłońią targnął się na naszych na naszych kapłanów, na nasze kościoły i plugawi drapieżnymi rękami ich święte ołtarze.

- Straszne rzeczy, o których nie miałam wyobrażenia, opowiadasz mi, Szymonie; nie wierzyłabym tego, gdybyś nie ty o tem mi mówił. I cóż zamýślasz czynić w tem położeniu?

- Oswobodzić miasto z przemocy Szwedów; w tym celu przychodzę do twego ojca z prośbą, by się przyłączył do naszego zamiaru.

- Oh, szczęśliwe przecucie kierowało twemi krokami! Ojciec tak dobry – on wam zapewne pomoże, ile starczą jego siły.

- Przyznam ci się, droga Anno, że w zupełności nie dzielę twojej nadziei. Lecz może go wzruszy opłakany stan naszego miasta; może się da namówić do dania nam pomocy, lub przynajmniej nie będzie nam przeszkadzał w naszych czynnościach i nie wyjawi ich przed czasem Szwedom, z któremi ma, jak się zdaje, ściśle związki. – Lecz słyszę, ktoś nadchodzi.

- To on! – zawołała Anna, wybiegła naprzeciw ojca i rzuciła mu się z radością na szyję.

- Co widzę? Anna moja przyjmuje za plecami ojca gości i do tego tak młodych i niebezpiecznych! – zawołał wchodząc do pokoju z udaną wesołością Gertych, nie dając po sobie poznać lekkiego nieukontentowania na widok Jakubowskiego. Dzień dobry wam, panie Jakubowski – rzekł, podając dłoń młodemu kupcowi, a potem zwracając się znów do córki:

I o czem, jeśli wolno pytać, toczyła się dziś wasza rozmowa? rzekł. Zapewne o miłości bez granic, lub może sprzeczka jaka nawet. A co, nie zgadłem?

- Nie, ojcuzłku, nie zgadłeś, odrzekła Anna. Rozmawialiśmy o rzeczach poważnych, które ci Szymon wyjawi, bo on do ciebie, ojcie, przybywa.

- Do mnie, pomyślał Gertych, cóżby to mógł być za interes. Czyżby mnie chciał trzymać teraz za słowo, które mu dawniej dałem względem ręki Anny? Byłaby to przeklęta sprawa, właśnie teraz, gdy mi się Renskiold o Annę oświadczył. Lecz poczekaj, bratku, z tej mąki nie będzie chleba. Moja Anna za dobra dla prostego mieszczucha. Znajdę ja już sposób, aby się uwolnić od twoich załatów. Potem rzekł głośno:

- To może byśmy przeszli do mojego pokoju, jeżeli ten interes jest tak ważny. Ty zaś, moja Anno, postaraj się o to, abyśmy nie potrzebowali o głodzie i na sucho obrabiać interesów.



Anna po tych słowach ojca zaczęła się żwawo krzątać koło śniadania, Gertych zaś z Szymonem weszli do pobocznej komnaty, którą dzisiejszym wyrazem nazwalibyśmy kantorem lub kancelarią pana burmistrza. W tej bowiem komnacie zwykł był Gertych załatwiać wszystkie ważniejsze sprawy. Tutaj nikt mu nie śmiał przeszkadzać; było to niejako miejsce nietykalne w domu, do którego sam pan miał wstęp wolny. Tutaj stała wielka, dębowa, w żelazo okuta skrzynia, w której się mieściły pieniądze i ważniejsze papiery Gertycha, tutaj były jego książki rachunkowe.

Rozdział IV

- Wiecie przecież, jakich okrucieństw dopuszczają się Szwedzi na nieszczęśliwym naszym mieście, rozpoczął Szymon rozmowę, skoro obadwaj zajęli miejsce.

- Aha, to z tej strony wiatr wieje! Pomyślał Gertych przy tych słowach młodego kupca, z niejaką radością widząc, że się jego nieprzyjemne oczekiwania nie ziściły. Po chwili namysłu odparł:

- Ja nie wiem o żadnych okrucieństwach szwedzkich; przeciwnie ich panowanie podoba mi się bardziej, niż liderlichowskie gospodarstwo polskiej szlachty. Mnie ze Szwedami zupełnie dobrze, nie czuję żadnego ucisku i życzę sobie, żeby ich panowanie jak najdłużej trwało!

- Znałem waszą nienawiść dla wszystkiego co polskie i dla tego wahałem się długo, zanim z planem moim do was przyszedłem. A przecież wy najmniej macie prawa do takiej nienawiści. Ubodzy, prawie o żebraczym kiju przybyliście tu do nas, do tego miasta, które was gościnnie przyjęło w swe mury i szlachetnie wsparło; jemu jedynie winicie wasz byt i utrzymanie, cały wasz majątek. Jeżeli kto, to wy powinniście śpieszyć z pomocą, ile na to starczą wasze siły.

Przy tych słowach gorzkiej prawdy, wypowiedzianych przez oburzonego tak czarną niewdzięcznością młodzieńca, oko Gertycha zabłysło złowrogo i postanowiło zemścić się krwawo na młodym kupcu. Tymczasowo przecież zapanował nad sobą, nie okazał miotającego nim gniewu i odrzekł dość spokojnie:



Dawny Kościan. Drzeworyt Stefana Becha

- Mylicie się, panie Jakubowski, twierdząc, iż wdzięczność winien jestem temu miastu. Rzecz ta ma się trochę inaczej. Nie ja temu miastu, lecz ono mnie wiele winno wdzięczności. Ja się dobrobytu i mienia dorobiłem nie za waszą pomocą i wsparciem, lecz wyższą kulturą, której my przychodnie przedstawicielami jesteśmy, i przez którą w niedługiej przyszłości zapanujemy nad wszystkimi narodami barbarzyńskimi. Za wielki zaszczyt niech sobie liczy to miasto, że przyjęło do siebie syna wielkiej kultury.

- I cóż zyskało miasto nasze przez tę kulturę, która wam w własnym kraju jeść nie dała i wyгнаła was szukać u ob-

cych schronienia i chleba? Rzeczywiście, wielki zaszczyt dla nas, gdy nas raczy zaszczyścić swą obecnością jaki żebrak szwabski.

Sprzeczką już groziła gwałtownym wybuchem, bo i Szymona obruszyła do żywego ta bezczelność, i Gertycha strasznie rozgniewały słowa obelżywe młodego kupca. – Lecz pierwszy pomyślał o ważności sprawy, która go tutaj przywiodła, odzyskał zimną krew, zapanował nad sobą i dość na pozór spokojnie mówił dalej:

- Ale dość już tych sporów i przymówek, ja wracam znów do pierwotnego zamiaru. Ponieważ ucisk Szwedów już nie do zniesienia, więc zamierzamy wy-

pedzić ich z naszego miasta i uwolnić tym sposobem od okrutnego ich panowania. W tym celu przychodzę do was, panie Gertych, i pytam czy możemy liczyć na waszą pomoc lub przynajmniej milczenie?

- A wypędzajcie sobie, wypędzajcie, rzekł ponuro Gertych, w duszy którego tlał już ogień groźnej nienawiści do młodego kupcowi. Życzę wam szczęścia i pomyślności, aczkolwiek wątpię, żeby się udać mogło wasze przedsięwzięcie. Ja się w to mieszać nie myślę, na mnie nie liczcie. Mnie, jak już raz wam powiedziałem, ze Szwedami zupełnie dobrze. To mówił głośno Gertych, a przy tem pomyślał z widocznym zadowoleniem: Ha! mam cię, ptaszku! Żebrak da ci się wkrótce we znaki.

- Więc was wcale nie wzrusza, mówił dalej Szymon, los strasznie gnębionej Ojczyzny?

- Ojczyzny? Zapytał drwiąc Gertych. Co to jest ojczyzna? Wyraz bez sensu, nie lepszy i nie gorszy od wielu innych. Ubi bene, ibi patria (gdzie dobrze, tam ojczyzna) mówili starzy Rzymianie, a byli to bardzo mądry ludzie; więc i ja się trzymam tej zasady. Tam, gdzie mi dobrze, tam moja ojczyzna.

Szymon usłyszawszy te podłe słowa, z tak cyniczną wypowiedzianą bezczelnością, wahał się chwilę, czy dłużej miał pozostać jeszcze w domu tego człowieka. Lecz zważając na cel szlachetny swego poselstwa, zwalczył pogardę, którą czuł dla Gertycha, i rzekł na pozór przynajmniej spokojnie, choć z odcieniem szyderstwa.

- Może w rzeczy samej odezwałem się do was niestosownie z wyrazem Ojczyzna. Wyście obcy z urodzenia, u was podobne inne obyczaje; więc chociaż tu znami niejedną już zjedliście beczkę soli, może się jeszcze trzymacie dawnych waszych zwyczajów. – Ale wy jesteście, jak nieraz mówiliście, katolikiem. – Powinien was przeto zwruszyć okrutny ucisk religii naszej i Kościoła, straszne przesładowanie sług jego i wiernych synów!

- Ha, ha, ha! zaśmiał się szyderczo Gertych. – Dajcie mi pokój, panie Jakubowski, z religią i Kościołem. – Religja, to jeszcze wiele głupszy wymysł jak Ojczyzna. Cóż jest religia? Dowcipny wymysł filutów, obrachowany na kieszeń ograniczonych ludzi; jest to po prostu spekulacja na ludzką głupotę, przynosząca przedsiębiorcom wielkie procenta. Jak dawniej kapłani starożyt-

nego świata oszukiwali ludzi w imię Jowisza, Baala i innych bogów, tak dzisiaj księża wyzyskują łatwowierność ciemnego ludu w imię Chrystusa. I tych filutów ja miałbym żałować! Żartujecie sobie chyba ze mnie, panie Szymonie. Prędzej nie osiągną tutaj panowania Szwedzi, którzy wiele lepsze dadzą nam rządy, niż ta dumna, hulaszczą i głupia szlachta; prędzej piękna kultura nie znajdzie u nas miejsca, aż ci wszyscy księża nie zostaną powywieszani albo co najmniej wygnani z kraju. Bo oni bezustannie lud do buntu podżegają, oni szerzą niechęć i nieufność pomiędzy ludem a nowymi jego panami. A czynią to dla swego zysku, dla swej egzystencji. Z kulturą ustanie głupota ludu, z głupotą, ich władza.

To już było ponad siły Szymona. Nie mógł znieść tak ohydneho naigrwania się z najświętszych swych uczuć i zapominając o wszystkim, wybuchnął w te słowa:

- O bodaj nie nadszedł ten czas, gdzie ty, bluźnierco nikczemny, w rozpacz i trwodze błagać będziesz pomocy i ratunku od tej religii, którą dziś głupim nazywasz wymysłem i na kolanach prosić będziesz o ocalenie tych księży, których wieszac chcesz i wypędzać. Wtenczas opuści cię twój rozum wielki i ta świetna kultura, w którą ufasz pełen zaślepienia, a zostanie przestraszony i trwoga śmiertelna, gdy ci przyjdzie stanąć przed tronem sprawiedliwego Boga. Bo jest jakaś siła wyższa nad niski poziom naszego pojęcia, wyższa nad rozum, choćby najprzenikliwszy, która rządzi światem, kieruje ludźmi i ich czynnościami, karze za złe, za dobre wynagradza. – Ta siła, to Bóg potężny i nieśmiertelny, którego wszechwładzę w każdym przedmiocie, w każdym atomie rozemnać możemy, od małej roślinki, od ziarenka piasku na wybrzeżu morza do ogromnego gór pasma, do niezmiernego okiem morza, do najdoskonalszego wreszcie na świecie jego tworu, do człowieka! I ta wiara w wszechmocnego Boga, którego istnienia cały świat dowodem, miałaby być głupim wymysłem na otumanienie ludzkości, a sługi tego Boga mieliby być oszukańcy i filuci, czyhający na kieszeń ograniczonych ludzi? O nie! Nigdy, przenigdy! Gdy sobie pomyślę, że nasz ojciec Józef... (cdn)

WANDA DOBRZEPOLSKA

POEZJA

SAMOTNEMU

towarzystwa dotrzymana

samotność

przeczytana gazeta

usłyszany głos z radia

albo historia z ekranu

tu jest Twój dom

pośród kolekcji przedmiotów

i tkanin

skrawek własnej ojczyzny

pośród innych

wyrasta dziką gruszą

i biegnie w oczach zbłąkanej

samy

samotnej

LESZEK KĘDZIERSKI

*) Autor – laureat znacznych turniejów poetyckich - jest nauczycielem w Zespole Szkół nr 4 w Kościanie i miłośnikiem literatury.

Pierwsza monografia powiatu

Mało kto wie, że w dawnych czasach powiat kościański stanowił jedną z największych jednostek administracyjnych w Polsce, samo miasto zaś było liczącym się w Rzeczypospolitej ośrodkiem handlu, rzemiosła i życia intelektualnego. Pierwszą monografię powiatu napisał i wydał w Poznaniu w 1885r. Edmund Callier. Zatyłował ją „Powiat Kościański w XVI stuleciu (Szkiec geograficzno-historyczny)”. Publikujemy niniejszym fragmenty książki Calliera na podstawie odpisu, wykonanego w 1965r. przez dra med. Henryka Florkowskiego, zachowując pisownię oryginału.

Od Zbąszynia do Śremu

Powiat kościański w XVI wieku był po Poznańskim, co do rozległości, największym w całej Wielkopolsce powiatem; według obliczeń A. Pawińskiego zajmował przeszło 92 mile kwadratowe i liczył 24 miasta, 118 parafii i 574 wsi. Liczby te oparte na rejestrach poborowych z r. 1580 są przybliżone i o tyle niedokładne, o ile niemi są same rejestra; pomimo to stanowią one cenną podstawę do dalszych badań ziemioznawczych XV stulecia.

Rejestra powiatu Kościańskiego, ułożone porządkiem alfabetycznym parafii, zestawiają na końcu wyliczone między temi parafiami miasta i miasteczka. Takich miast jest 24; jako wsie zwyczajne wykazane są Kargowa i Rozstarzewo, jako wieś parafialna Rakoniewice, a Piaski z pod Gostynia są całkiem pominięte. Po roku 1580 powstały Rawicz i Bojanowo. Z uwzględnieniem dzisiejszej geografii w zestawie poniżej te miasta, licząc uważane za takie w rejestrach, a dla łatwiejszego zorientowania się, oznaczę je w sposób następujący.

Wykaz miast

Do powiatu Kościańskiego należały tedy, lub powstały w granicach jego, następujące miasta i miasteczka:

1. Babimost, Bojanowo – po r. 1580,
2. Brojce,
3. Czempin,
4. Dolsk,
5. Dupin,
6. Górka Miejska,
7. Gostyń,
8. Grodzisk, Kargowa, wykazana jako wieś, należąca do parafii Kopanickiej,
9. Kęblów,
10. Kopanica,
11. Kościan,
12. Krobia,
13. Krzywiń,
14. Książ,

15. Opalenica,
16. Osieczna, Piaski pominięte w rejestrach,
17. Poniec, Rakoniewice, jako wieś parafialna, Rawicz po r. 1580, Rozstarzewo, jako wieś, należąca do parafii Wolsztyńskiej,
18. Rydzyna,
19. Sarnowa,
20. Śmigiel,
21. Śrem,
22. Wielichowo,
23. Wolsztyn,
24. Zbąszyń.

Parafii jest wykazanych 118, zważywszy atoli, że pod Miałkiem z pod Wolsztyna wyliczone są mylnie Oporowo, Oporówko i Krzemieniewo z pod Ponieca i Krobia, a pod Opalenicą – Oborzysko, Jasin i Karczyn – z pod Kościana, które także tworzyły parafijum, powiększa się ich liczba o dwie, nie pominąć innych niedokładności, o których mowa będzie na właściwym miejscu.

Zaginione osady

Wyliczonych w rejestrach poborowych i nie istniejących już miejscowości, lub ukrytych pod niepodobnemi do pierwotwórców nazwami, jest mniej aniżeli całkiem pominiętych; owóż ich wykaz:

1. Badurowo pod Krobią,
2. Górki pod Hówcem Małym, w okolicy Czempinia i Mosiny,
3. Kościelna Wieś, złała się z miastem Krobią,
4. Mirkowice pod Rydzyną,
5. Najdaka posiadłość. pod Kościanem,
7. Piotrowice pod Goniembicami, w okolicy Osieczny i Leszna,
8. Przewóz, wieś parafialna, nad Wartą, między Śremem i Mosiną, znikła całkiem,
9. Szamarzewo pod Śremem,
10. Węglinek pod Gryżyną w okolicy Kościana i Krzywinia,
11. Żabienko pod Żabnem, w pobliżu Mosiny,

Całkiem pominięte są w rejestrach poborowych, aczkolwiek znane już

przed r. 1580: Bolewiny pod Brojcami, Chrzastowo, między Książem i Śremem, Dobra Pod Bukiem, Domnice pod Przemętem, Gierlachowo pod Bojanowem, Krutle pod Wolsztynem, Kurowo pod Grodziskiem, Kuszewo z pod Śmigła, którego znaleźć nie mogę na mapach, jakie mam pod ręką, Łęzek, między Książem i Śremem, Małpin pod Dolskiem, Piaski, miasteczko, Kłaczkowo pod Jutrosinem, Pomocno pod Dupinem, Rakówka między Śremem i Czempiniem, Rogusko pod Nowem Miastem, Smyczyzna Nowa, Sowy pod Dupinem, Sroczewo pod Książem, Widawa pod Poniecem i Żylice pod Rawiczem.

Wykaz ten nie wyczerpuje przedmiotu; zestawiałem go pobieżnie dla poparcia wypowiedzianego powyżej zdania, że wspomniane tu rejestra poborowe, jak nam je podał szanowny wydawca źródeł dziejowych, grzeszą niedokładnością. Zastanawia mnie także okolica Książa z nomenklaturą wcale nie nowomodną, jak np. Kiełczyn, Jarosławki, Rusocin i Masłowo, nie wykazane w rejestrach, o których atoli nie mam pewności czy istniały przed tychże spisaniu.

Nie istniały już w owym czasie, lub zamieniły swoje nazwy: Banie, Brzedno, Dębice, Grodowo i Kruszczyń z pod Dolska. Chrusty, Czapllice i Gola Kamieniecka między Grodziskiem i Wielichowem. Łagówko pod Krzywinem. Lusno (?). Maryszewo pod Krzywinem. Międzygórze pod Dolskiem. Mochowo między Borkiem i Gostyniem. Motolewo i Muchlin pod Dolskiem. Pozebsko (?). Radlewo pod Świąciechową. Rebuch, Sławkowo i Stupowo (?). Warla pod Krzywinem. Wierzbicice pod Lesznem. Zdunki pod Krzywinem, Zimnowo i inne.

EDMUND CALLIER



Adam Tomaszewski (z lewej) z poetą emigracyjnym Józefem Łobodowskim.

Fot. ze zbiorów Jerzego Zielonki

Na minowych polach emigracji

Coś ty Atenom zrobił Sokratesie
 Że ci ze złota statwę lud niesie
 Otruwszy pierwej?...
 Coś ty Italii zrobił Alighieri
 Że ci dwa groby stawi lud nieszczery
 Wygnawszy pierwej?...
 (C. K. Norwid)

Późna pora i zła pogoda wymiotły przechodniów z ulic. Czasem tylko pod murem domów przesunie się lśniący od wody parasol; czasem przejedzie samochód, rozpryskując kałuże na jezdni. Nieliczna publiczność już dawno poszła do domów. Na początku lat pięćdziesiątych niełatwo zapełnić salę na kanadyjskiej prowincji. Choćby się było sławnym pisarzem. Na wieczór autorski twórcy na Na tropach Smętka i Bitwy pod Monte Cassino przyszło 20 osób. Stoimy pod daszkiem osłaniającym wejście do Polskiego Domu. Gumy deszczowców ociekają wodą, niepodobna wejść w lodowate, lejące się z nieba strumienie, trzeba poczekać.

Odprowadzam pana Melchiora do taniego hoteliku. Wstyd mi za miejscową polską społeczność, tak zwykle gościnną i uczynną. Nikt nie pomyślał o kwaterze, kolacji dla gościa, nikt nie

zapropozował, że odwiezie go w taką ulwę. Ba, gdyby to był znany generał, polityk, ksiądz kapelan. Ale pisarz? Stara Polonia nie zna się na książkach, ci, co czytają, dopiero przyjeżdżają, urządzają się, zaczynają pracować po farmach i fabrykach. Rozumiemy to obaj. Ale smutno, ale gorzko, w taki wieczór trudno zdobyć się na optymizm. Prostokąty oświetlonych okien wtopiły się z nagłą w milczącą skamieniałą czerń budynku. To „gospodarz” polskiej „hali” wygasił światła i poszedł spać. Deszcz zmniejszył się znacznie, przez podartą gdzieś opone chmur zaczynają błyskać gwiazdy.

Sandwicze, Hamburgery, Coffee Pot. Czerwony neon krwawą plamą kładzie się na mokrych asfaltach. We wnętrzu koutuar, błyszcząca niklem maszyna do kawy, obok talerzyki, talerze, pudło ze sztućcami, porcelanowe kubki, szklanki i filiżanki, w głębi obity blachą zlew do zmywania naczyń, nad tym wszystkim czarne litery na szarym kartonie: „Nie udzielamy kredytu, tylko gotówka”. Kilka stolików, „grająca szafa”, młeczne lampy o popstrzonych przez muchy kloszach, niechętnie ustępujący swąd smażeńizny, dotkliwy chłód ciągnący od drzwi - typowy obraz

restauracyjki-grillu, powielany w opisach Dos Passosa, Faulknera, Steinbecka.

Zajęliśmy stół w rogu, pan Melchior odstawia pod ścianę teczkę z piżamą i przyborami do golenia oraz rulon mapy niezbędnej do barwej gawędy o Polsce między wojnami. Obawiam się, że prelekcja nie trafiła do świadomości prostych, wymęczonych codzienną pracą ludzi. Pisarz opowiada o projektowanej wyprawie na zachód i północ, gdzie chce zebrać materiały do epickiej książki o losach Polaków w Kanadzie. Mówi cicho, zmęczonym głosem, przebijają z tych słów zniechęcenie i troska. „Przed taką wyprawą o trasie kilku tysięcy kilometrów muszę zdobyć trochę grosza, wygłaszając odczyty po różnych miejscowościach Ontario. Po dzisiejszym wieczorze zamiast zarobku przyjdzie dopłacić kilka dolarów...” No i masz pisarzu „niosący oświaty kaganek”... bij siwą głową w ojczystą strzechę...

Znudzona kelnerka sprząta talerze po sandwiczach i kubki po kawie, po-brzękuje kluczami na znak, że zamyka lokal. Pan Melchior zerka na zegarek, podnosi się ciężko. ➤

► „Czas przepać się nieco. Skoro świt muszę zdążyć na autobus do Hamiltonu”.

*

Wańkowicz jeździł przed wojną po naszych ziemiach kresowych, to, co zobaczył, opisał w cyklu Ziarna po Polsce. Bystry obserwator i dociekliwy reporter, odwiedzał dwory i zaścianki, kolonie wojskowych osadników, ukraińskie i białoruskie wsie. Chwalił osiągnięcia na tych terenach, doszczętnie zdewastowanych przez obce armie. Ale i szedł dołem spraw ciemnych, kłopotliwych, haniebnych, odsłaniając błędy rządowej administracji, uchybienia starostów i wojewodów.

Po wojnie, jak dawniej kiedy jeździł po Polsce B. szukając okrucich polskiego losu, po bezdrożach, „gdzie kałamaszka nie przejedzie”, umyślił zbierać polskie ziarna po kanadyjskich preriach, lasach i głuszach. Na szlakach rzek i jezior, noszących imiona sławnych podróżników, po wielkich miastach, gdzie odnajduje się swojskie nazwiska, po pustkowiach zupełnych, gdzie spośród drzew wyblęśnie nagle wieża polskiego kościoła.

Z krzyżujących się tras samolotowych, samochodowych, z tysiąca spotkań, rozmów, wywiadów, kontaktów z ludźmi wielu narodowości, odwiedzin traperów, drwali, rybaków, parków narodowych, rezerwatów Indian, z wielu lektur podpartych encyklopediami, statystykami, górą „fizek” na temat rolnictwa, geografii, botaniki i Bóg wie czego jeszcze - powstała opowieść o Kanadzie pionierskiego trudu, Tworzywo, w wydaniu angielskim Three Generations. Polscy emigranci, ludzie z trzech zaborów, przyjeżdżali od połowy XIX wieku osiedlać się na preriach, karczować lasy, budować drogi i koleje, wydobywać po kopalniach bogactwa tej ziemi. Jechali znad Seretu, Horynia i Zbrucza. W galicyjskich miasteczkach i wioskach powtarzają sobie ludzie o dalekiej Kanadzie, gdzie dostaje się ziemię za darmo, gdzie żyje się lepiej, gdzie dorobić się dziw jak łatwo.

Toteż młodzi, którym nie spieszo do „cukania” feldfebli w cesarskim wojsku, ojcowie, którym bieda dojadła do żywego, wyprzedają się, oddają za bezcen ostatnią morgę, wiążą toboły - kto koleją, własnym przemyślem, kto pospołu z sąsiadami całą karawaną, dociera do portów Hamburga, Bremy, Cuxhafen.

Płyną tygodniami w ciemnych, cuchnących lukach żaglowców, lądują w Quebecu i Montrealu, po długiej podróży koleją oszołomieni, wystraszeni, nic nie rozumiejący, wysiadają na jakiejś odludnej stacyjce, gdzie czekają pierwsze doświadczenia na kanadyjskiej ziemi.

Ciężkie przeżycia gotował los polskim osadnikom budującym ten kraj. Przetrwali najgorsze lata, zapuścili mocne korzenie w tutejszą glebę. Nadszedł czas na ściąganie do kupy, budowanie zwartej społeczności; wyciszały się dawne urazy i niechęci, budziła się narodowa świadomość.

Świetnie napisana książka, najlepsza książka polskiego autora o emigracji zarobkowej, kończy się dramatycznym akcentem na polsko-ukraińskim weselu. Radiowy komunikat mówi o napadzie hitlerowskich Niemiec na Polskę. Orkiestra gra hymny polski i kanadyjski. Śpiewają wszyscy białoczerwone słowa. Zaczyna się Druga Wojna Światowa.

*

Aż do powrotu do kraju (1958) pisarz mieszkał w Stanach. Podróżował jednak całymi miesiącami po Kanadzie, wielokrotnie zjawiał się w Toronto. Spotykało się go na towarzyskich przyjęciach, gdzie otoczony gronem słuchaczy brylował w rozmowach, w błyskotliwych wypowiedziach pełnych erudycji, intelektualnej lekkości, humoru opartego na ciętej pencie, swoistych składnikach jego piarstwa, które jeszcze przed wojną zdobyło całe rzesze oddanych czytelników.

Bywał i u nas, w pierwszym torontońskim mieszkaniu na Pine Crest Road. Jeden z takich wieczorów nazywał się potem w rodzinnej kronice „Wieczorem Herminii Naglerowej”.

Zagłębieni w mocno już steranych, lubo wygodnych fotelach pan Melchior i Stach Zybała, owego czasu redaktor „Głosu Polskiego”, ze szklankami whiskacza zacnego w dłoniach, otoczeni kłębami dymu, opowiadali sobie kawały z kręgu Bacchusa i Wenerzy, z frywolnymi słowami, jakich pensjonarkom i (hm... hm...) młodym mężateczkom słuchać się nie godzi.

Zaintrygowana wybuchami śmiechu Jadwiga - onażé wówczas młoda mężateczka - zajęta przygotowaniem w kuchni mi-chy kanapek - zaglądała niekiedy do pokoju, wszystkie jednak interpelacje zbywano jowialnym zapewnieniem, że „nic ciekawego” (ba, jeszcze jak ciekawego!). Bo niby kogóż interesować mogą takie nieważne detale, jak powojenna Italia, włoskie signo-

riny, polskie „pestki”, wojskowe perypetie pani... Herminii.

Dość energicznie zbierano wówczas w Kanadzie przedpłaty na Ziele na kraterze. Nie znaleźliśmy jeszcze pełnego tekstu, książka ukazała się wiele miesięcy później. Czytaliśmy natomiast sporo fragmentów drukowanych w londyńskiej prasie literackiej pod tytułem Dzieje domeczku.

Któregoś wieczora pan Melchior opowiadał o swym bracie Witoldzie. Jak objął rodzinny majątek w Kałuzycach w Mińszczyźnie. Jak gospodarował na ojcowiznie, jak wierny tradycjom kresowych Mohortów trwał czołem do nadciągającej od Wschodu burzy. Wzorem tamtejszej szlachty, która robiła to od wieków, obsiewał pola, z których nie zebrał żniwa, po czym wracał do szeregów. Nie udało się utrzymać tamtej ziemi. Po Ryskim Traktacie Kałuzyce i cała Mińszczyzna zostały po tamtej stronie granicy. Kresowy ziemianin otrzymał od młodziutkiego polskiego państwa skromną rekompensatę. Oddano mu w dzierżawę państwową domenę w Jerce, w kościańskim powiecie. W ekonomicznym domu na skrzyżowaniu szos schroniły się rodziny braci Wańkowiczów, w ciężkich zrazu warunkach rozpoczynających życie w wolnej ojczyźnie.

Ileż to razy - i wtedy, i później - rozmawialiśmy z panem Melchorem o tamtych stronach, o ludziach, o Kościanie... Bywał tam, a jakże, jeździło się kolejką albo „kałamaszką”. Do doktora, na zakupy, na szkolne „wywiadówki”. W połowie lat trzydziestych bobrowano dużo po tamtej okolicy. Ze świetnej trójkolorowej mapy, polskiej „setki”, wyłaniały się szlaki harcerek wycieczek. Chwiały się tornistry na plecach piechurów, brnęło się po piachach polnych dróg. Rowerowe ścieżki prowadziły ku coraz wyraźniejszej, coraz bliższej sylwecie lubińskiego klasztoru.

Ekonomiczny domek... Jerka... Mój Boże... Łączy mnie z tamtym miejscem i tamtym czasem pewien radosny fragment. Także mojej młodości...

ADAM TOMASZEWSKI

**Tekst jest fragmentem większej całości nieżyjącego już pisarza emigracyjnego - patrona Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kościanie, autora m.in. tzw. kościańskiej trylogii: „Młodość została nad Obrą”, „Gorzko pachną pioluny” i „Gdzie jesteś Itako”.*